

Polska Polityka Wschodnia

Pełny zapis dyskusji zorganizowanej przez Fundację im. Stefana Batorego
oraz redakcję „Tygodnika Powszechnego” w dniu 1 marca 2001

KRZYSZTOF KOZŁOWSKI: Cieszę się, jako współorganizator tego spotkania, że znaleźliście państwo czas by w nim uczestniczyć. A nasz temat - polska polityka wschodnia - jest jednym z najistotniejszych i, odpukać we wszystkie niemalowane drewna, dyskusja zainicjowana na łamach „Tygodnika Powszechnego”¹ trwa i odbiega od niechlubnych standardów dyskusji toczonych w naszym kraju. Życzę wszystkim, by nadal się rozwijała, nie została skażona partyjniactwem i innymi paskudnymi cechami. Chciałbym, żeby Polacy zaczęli się spierać w tak dobry i pożyteczny sposób, jak dotychczasowi dyskutanci, z tu obecnym sprawcą całego zamieszania - Bartłomiejem Sienkiewiczem. Wywołał on temat, który jak się okazało, jest ważny dla tak wielu osób, także dla Fundacji im. Stefana Batorego od lat podejmującej tę problematykę, ale potrzebny bywa jakiś bodziec, który pozwoli na nowo przyjrzeć się temu zagadnieniu.

ALEKSANDER SMOLAR: Wypowiedzi Bartłomieja Sienkiewicza, publikowane na łamach „Tygodnika Powszechnego”, wyraziście ukazały sposób myślenia o polskiej polityce zagranicznej mało dotychczas obecny w debatach publicznych. Sądzić jednak można, że jest on obecny w świadomości szerszych kręgów osób zastanawiających się nad polską polityką zagraniczną. Mamy tu, sądzę, do czynienia ze świadectwem pewnego kryzysu dotychczasowego podejścia do tej polityki. Przy czym, samo słowo „kryzys” nie niesie ze sobą jakichś negatywnych implikacji. Raczej oznacza, że konieczne jest ponowne przemyślenie naszej polityki wschodniej, znalezienie odpowiedzi dla nowej sytuacji, albo dla sytuacji na nowo odczytanej. Krótki czas dziesięciu lat samodzielnej polityki wschodniej można różnie periodyzować. Można więc mówić o okresie dwutorowości polityki wobec Moskwy i wobec uniezależniających się stopniowo republik. Polityka ta cieszyła się dużą popularnością na Zachodzie, jako pewnego typu nowość. Zachód z opóźnieniem bowiem często dostrzegał formowanie się nowych podmiotów stosunków

¹ B. Sienkiewicz, *Pochwała minimalizmu*, „Tygodnik Powszechny”, 24-31 grudnia 2000; B. Sienkiewicz, *Szkodliwe marzycielstwo*, „Tygodnik Powszechny”, 21 stycznia 2001; W. Maziarski, *Szkodliwe poglądy*, „Tygodnik Powszechny”, 4 lutego 2001; B. Sienkiewicz, *Podejmijmy poważny spór*, „Tygodnik Powszechny”, 4 lutego 2001; B. Berdychowska, *Giedroyc nadal aktualny*, „Tygodnik Powszechny”, 4 marca 2001; Cz. Miłosz, *Przeciw minimalizmowi*, „Tygodnik Powszechny”, 4 marca 2001;

międzynarodowych na gruzach ZSRR. Później przyszedł czas, w którym, przynajmniej w publicystyce, dużą rolę odgrywało „romantyczne” podejście do naszych sąsiadów, zdeterminowane poczuciem solidarności i moralnego obowiązku wynikającego z historii odległej, czasów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, czy też bliskiej, tej z lat demokratycznej opozycji. Wreszcie nadszedł okres pewnej euforii, nadal obecny w myśleniu wielu polityków, przekonania o szczególnej roli Polski jako regionalnej potęgi, jako naturalnego pośrednika między „Wschodem” a Unią, czy NATO. Historyczne źródła takiego myślenia nie trudno odnaleźć. Jakie są pozahistoryczne źródła tej koncepcji?

Sukcesy polskich przemian spowodowały, że wiele krajów regionu przyglądało się uważnie temu, co w Polsce się dzieje. Do Warszawy przyjeżdżali politycy i specjaliści, aby przyglądać się polskim doświadczeniom. Polska dyplomacja okazała swoją skuteczność w złożonych stosunkach z Niemcami, w dążeniu do przyśpieszenia poszerzenia NATO, w wywieraniu presji na Unię Europejską. Nasi sąsiedzi zaczęli przywiązywać coraz większą wagę do stosunków z Warszawą. Pojawiło się pojęcie „strategicznych” czy „uprzywilejowanych” stosunków. Dotyczyło to Ukrainy, Litwy, ale trzeba też pamiętać, że niedawno jeszcze pierwsze wizyty zagraniczne prezydenci Rumunii i Bułgarii złożyli w Warszawie, zaś Minister Spraw Zagranicznych Czech mówił, wkrótce po nominacji, o szczególnej roli Polski jako pośrednika w rozwiązywaniu konfliktów regionalnych. Polscy przywódcy coraz częściej występowali w roli rzeczników interesów innych państw, nie tylko polskich. Tej retoryce sprzyjała pewna presja narodów sąsiednich, które szukały szansy znalezienia się wśród uprzywilejowanych krajów Zachodu i w Warszawie widziały ważnego pośrednika w rozwijaniu tych kontaktów. W jakimś sensie naśladowaliśmy w stosunkach ze wschodnimi sąsiadami rolę, jaką, często naiwnie przypisywaliśmy Niemcom w naszych stosunkach z NATO, a zwłaszcza z Unią Europejską. I rzeczywiście polscy politycy próbowali odgrywać rolę rzecznika naszych sąsiadów na różnych spotkaniach międzynarodowych, podkreślając wagę w polityce europejskiej takich krajów jak Ukraina. Ten okres zdaje się kończyć. Coraz mniej mówimy o naszej roli, coraz rzadziej sąsiedzi określają nas jako partnera strategicznego. Ostatnio minister spraw zagranicznych Ukrainy do partnerów strategicznych swojego kraju zaliczył Stany Zjednoczone i Rosję, nie wspominając w tym kontekście o Polsce. Teraz, jeżeli dobrze interpretuję toczącą się dyskusję, pojawia się fala pewnego pesymizmu; sceptycyzm co do naszych możliwości, ale

T.A. Olszański, *Po pierwsze: interes państwa*, „Tygodnik Powszechny”, 18 marca 2001; J. Pomianowski, *Wszystkie błędy zostały już popełnione*, „Tygodnik Powszechny”, 25 marca 2001.

i niewiara w dojrzałość naszych wschodnich sąsiadów, w ich możliwość zintegrowania się w dającej się przewidzieć przyszłości ze światem euroatlantyckim. Wyrazem tej zmiany nastrojów zdają się być wystąpienia Bartłomieja Sienkiewicza. W podobnym kierunku idą, wydaje mi się, poglądy Zdzisława Najdera. Tylko, czy można mówić istotnie o pesymizmie, gdy ukazuje się rozmiary problemów krajów, z którymi wiążemy tak wielkie nadzieje? Czy wyrazem pesymizmu jest próba określenia realnych możliwości wpływania na losy sąsiadów, jakimi dysponuje państwo polskie? Każda realistyczna polityka powinna bazować na dobrym rozpoznaniu potencjału, możliwości. Ale czy nie jest tak, że w polityce wola, zdecydowanie, klarowność aspiracji odgrywają bardzo istotną rolę? Nie trudno wskazać na przykłady państw małych, które potrafiły odgrywać istotną rolę w polityce międzynarodowej i państw o dużym potencjale, których wpływ na środowisko międzynarodowe był bardzo ograniczony.

Interesująca w dotychczasowej dyskusji jest słaba obecność Rosji. Mówi się o Ukrainie, o stosunku do Białorusi, Litwy. Moskwa pozostaje gdzieś w tle. Powiada się więc na przykład, że nie należy dążyć do oddzielania tych krajów od Rosji, bo nasze możliwości są niewielkie, lub że nie powinno się Rosji antagonizować. Do tego jednak podejmowanie problematyki rosyjskiej w toczonej dyskusji zdaje się ograniczać. Nastąpiło zaskakujące odwrócenie sposobu myślenia o naszych sąsiadach w porównaniu do sytuacji z początku lat 90-tych. Wówczas każdy krok wobec Litwy, Ukrainy czy Białorusi był analizowany i często krytykowany (np. przez polityków SdRP) z perspektywy naszych stosunków z Moskwą, czy raczej stosunku Moskwy do nas. Również na Zachodzie nasze inicjatywy wobec wschodnich sąsiadów nieraz budziły nieufność. Teraz staramy się prowadzić aktywną politykę wobec Ukrainy, Litwy, trudniej o nią w przypadku Białorusi, mniej niż w przeszłości zwracając uwagę na to co powie Moskwa. W obecnej dyskusji Rosja pojawia się czasami jako mniej czy bardziej nieuchronny punkt ciężenia krajów, które, mieliśmy nadzieję, zdecydowanie zwrócą się ku Zachodowi. Ta nieobecność Rosji w naszym myśleniu musi zastanawiać i niepokoić.

Polska polityka w stosunku do Wschodu oscyluje między kompleksem karła a narodową megalomanią. Z jednej strony historycznie częste było poczucie, że nic nie możemy zrobić i że czynienie czegokolwiek może być niebezpieczne. Z drugiej istnieje trwała skłonność do megalomanii, przekonanie o jakimś szczególnym posłannictwie, roli, niezwykłych możliwościach Polski. Obie skrajności są niebezpieczne.

Nad tą dyskusją unosi się duch Jerzego Giedroycia. Nie jest to sprawą przypadku. Wielu uczestników dyskusji powołuje się na jego koncepcje, na publicystykę Jerzego Mieroszewskiego, na dorobek „Kultury”. Ich rola w ukształtowaniu poglądów elit polskich na sprawę naszych stosunków z sąsiadami ze wschodu była zasadnicza. Być może było to największe polityczne osiągnięcie Maisons-Lafitte. Jeżeli po 1989 roku nie mieliśmy kłopotów z naszymi wschodnimi sąsiadami, to jest w tym ich wielka zasługa. Kiedyś rozmawiałem długo z Jerzym Giedroyciem. Między innymi o stosunkach z sąsiadami. Powiedział wtedy, że Polacy mają skłonność do redukcji Polski do terenów między Odrą a Bugiem. Polska zaś – mówił Giedroyc - leży w przestrzeni, która jest wyznaczona nie tylko przez geografie, ale również przez historię. I od niej nie można i nie należy uciekać. Historia współokreśla przyszłość. Musimy myśleć o przyszłości w kategoriach strategicznych, ale przeszłość współokreśla nieuchronnie naszą politykę. Polityki nie można układać jak równania matematycznego. Zależy ona na przykład w dużym stopniu od wzoru społeczeństwa jaki wybieramy. Jeżeli przyjmiemy model skrajnego indywidualizmu, widząc w narodzie, w społeczeństwie zbiór jednostek realizujących własne partykularne cele, zaś państwo ma im jak najmniej przeszkadzać, zapewniając bezpieczeństwo, szansę rozwoju materialnego i duchowego... Przyjmując taką indywidualistyczną wizję zbiorowości, powinniśmy odciąć się od Wschodu i pędzić jak najszybciej na Zachód. Taki model polityki wybrał kiedyś Vaclav Klaus, łatwo godząc się na odcięcie słowackiego „ogona” i dystansując się nawet od solidarności „środkowoeuropejskiej”, jako przeszkody w drodze na Zachód. Jeżeli jednak widzimy naród jako wspólnotę ukształtowaną przez historię, kulturę, tradycję, jako zbiorowość przeżywającą wspólnie przygodę w historii, jako zbiorowość, która ma poczucie wspólnych wartości i celów współokreślonych przez doświadczenia historyczne, to wtedy od naszych wschodnich sąsiadów odciąć się nie możemy. Jeżeli spojrzeć na grono specjalistów od polityki międzynarodowej, to dwie trzecie osób zna się na Wschodzie a nie na Zachodzie. To pokazywałoby, że my idąc na Zachód, gdzieś tam kulturowo, intelektualnie jesteśmy, w naszym myśleniu o świecie, bardzo silnie związani ze Wschodem. Od tego nie można abstrahować formułując hipotezy na temat racjonalnej polityki. Polityka to są również emocje, a nie tylko racjonalna analiza układu sił i korzyści. Ale nie chodzi tylko o tradycje i emocje. Również o bardzo racjonalne nasze interesy. Gdy znajdziemy się w Unii Europejskiej nie możemy się zadowolić miejscem kraju peryferyjnego, który ma dużo do wzięcia i nic do dania. Nasza szczególna rola w ramach Unii nieuchronnie będzie związana z naszym myśleniem o Wschodzie, naszą

polityką wobec Ukrainy, Białorusi, Rosji. Ten region jest naszym bólem, naszym doświadczeniem, ale i źródłem naszego bogactwa, był źródłem naszych obaw, powinien stać się również naszą nadzieją. Szwecja – co widać teraz w okresie jej prezydencji w Unii Europejskiej - pcha Unię ku północy, Hiszpania, Francja, Włochy są zainteresowane tym, co dzieje się wokół basenu Morza Śródziemnego. Polska w ramach Unii winna wyrażać w języku politycznym nasze tradycyjne przywiązanie do wschodnich sąsiadów i ciągnąć w tą stronę inne kraje Unii.

ZDZISŁAW NAJDER: Zajmujemy się dyskusją ogromnie cenną ze względu na jej temat, chociaż jest to rozmowa niedoskonała, bo między głównymi jej uczestnikami występują nie tylko różnice poglądów, ale nierówność wiedzy na temat materiału „dowodowego”. Byłoby dobrze, gdyby w debatach prowadzonych w przyszłości unikać na przykład mówienia, że twarda odmowa w Brukseli zmusza nas do wprowadzenia reżimu wizowego. Porozumienie z Schoengen jest częścią *acquis communautaire*, jest nienegocjowalne, na ten temat w ogóle się nie rozmawia. Porównywanie systemu wizowego i sowieckiej *sistemy* jest nieporozumieniem. Dobrze pamiętam, czym była owa *sistema*, tworzyła ona całkowicie nieprzekraczalną granicę. Z wizami natomiast tę granicę się przekracza. Nie chcę zbyt dużo czasu poświęcać temu tematowi, bo o problemie wiz napisano już wiele. Chciałbym tylko zwrócić uwagę, że jeżeli ktoś uważa, iż polscy górnicy nadal mają pracować w nieefektywnych kopalniach węgla, ponieważ się przyzwyczaili do tej pracy i mają zatrudnienie, to nie jest ich prawdziwym przyjacielem. Podobnie, jeżeli ktoś myśli, że handel mrówczany należy utrzymać, bo on jest pożyteczny dla ludzi po obu stronach granicy, to nie jest prawdziwym przyjacielem rozwoju gospodarczego w tamtych regionach. I jeżeli ktoś mówi, że supermarkety podważą Łukaszenkę, to trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że utrzymanie dotychczasowego sposobu wymiany handlowej po obu stronach spowoduje, iż one po prostu nie powstaną. To wyjaśnia, dlaczego przedsiębiorcy po obu stronach granicy są zwolennikami wprowadzenia wiz.

Jeszcze tytułem wstępu kilka uwag o naszej polityce wschodniej początku lat 90-tych. Bardzo się cieszę, że współgospodarzem tego spotkania jest „Tygodnik Powszechny”, ponieważ ma on do odrobienia pewne winy. Dziesięć lat temu „Tygodnik” - piórem Andrzeja Romanowskiego - występował przeciwko uznaniu niepodległości Litwy, uważając, że byłoby to przedwczesne i psułoby stosunki z Rosją. W rezultacie okazaliśmy się dwudziestym szóstym państwem, które uznało Litwę! Wtedy podkreślałem, że tylko my

z Litwą tworzyliśmy kiedyś wspólne państwo, mamy więc pewne obowiązki. I druga sprawa. Bogumiła Berdychowska bardzo pochlebnie napisała o polskich elitach, które zmobilizowały się wobec niepodległej Ukrainy, ale to też jest upiększenie. Premier Bielecki wydał dyspozycje swojemu ministrowi, żeby ogłosić uznanie niepodległości Ukrainy, a w tym samym czasie urzędujący prezydent złożył wyrazy współczucia prezydentowi Rosji. W Kijowie nie bardzo wiadano, które sygnały są prawdziwe: uznanie niepodległości, czy też wypowiedź prezydenta Wałęsy. Uważam, że warto pamiętać o tych potknięciach, bo droga do wypracowania naszych stosunków ze wschodnimi sąsiadami była wyboista. Jak to się mówi: sukces ma wielu ojców i wiele matek, a nasze sumienia takie za czyste nie są.

Niejako unosi się nad nami duch Jerzego Giedroycia. Ale nad tym duchem unosi się inny: Józefa Piłsudskiego. Myśl „Kultury” była przedłużeniem jego koncepcji i Pan Jerzy tego nigdy nie ukrywał. Sądzę, że ta myśl nie zostałaby tak dobrze przyjęta, gdyby nie była kontynuacją pewnej tradycji prometejskiej. A skoro przypominam nazwisko Piłsudskiego, to przywołam jeszcze przydomek, jakim go opisywano – był to „romantyczny realista”, tzn. stawiał sobie romantyczne cele, ale przyglądał się temu, jakimi instrumentami rozporządza i starał się je wzbogacać w najrozmaitsze sposoby: od współpracy z wywiadem austriackim i japońskim po słynną biesiadę z polskimi monarchistami po zamachu majowym. Chciał rozpoznawać rzeczywiste środki, którymi może realizować swoje cele. Aleksandra Smolara zaskoczyła nieobecność że w tej dyskusji historii. Też zauważam ten brak, zwłaszcza u plemistów Bartłomieja Sienkiewicza. Można odnieść wrażenie, że narody sąsiadujące z nami miały wspólną terażniejszość czy niedawną przeszłość w ramach tzw. obozu socjalistycznego, natomiast nie było tysiąca lat wspólnych dziejów. Moim zdaniem to jest fundamentalny aspekt. Polska razem z Białorusią, Litwą, Ukrainą tworzyła Rzeczpospolitą wielu narodów. Należymy do wspólnego europejskiego kręgu kulturowego, ponieważ niegdyś byliśmy w jednym państwie, które miało straszne wady, nie spełniało obietnic, ale było organizmem, w którym funkcjonował np. samorząd miejski, będącym jednym z wyznaczników europejskości. Nie musimy się niczego wstydzić. Jest to ważny wyznacznik naszych politycznych poglądów. A drugi, nie mniej istotny, nie zauważony w tej dyskusji. Kultura polska na mapie kultur europejskich jest wyjątkiem, bo jej jedna trzecia a może nawet połowa, powstała poza granicami politycznymi obecnej Polski. Nie oznacza to, że chcę, abyśmy coś komuś musieli odbierać, wprost przeciwnie, dajemy sobie wzajemnie. Ale musimy pamiętać, że jest to również kultura polska. Dlatego jednym z naszych celów

politycznych powinno być utrzymanie fizycznego kontaktu z narodami i ziemiemi, które stanowiły wspólną część zaplecza naszej kultury.

Przechodząc do meritum sprawy: myślę, że zaszło tutaj pewne nieporozumienie. Bartłomiej Sienkiewicz chciał realistycznego rozpoznania środków do celów. Natomiast posądzono go, że te cele odrzuca. Sądzę, że również Sienkiewicz chce, żeby na Wschód od Polski powstało społeczeństwo obywatelskie, tylko zdaje sobie sprawę, że to bardzo długi proces. I mamy bardzo znikome instrumenty, żeby ten proces przyspieszać. Nie jest to, jak mówi Bogumiła Berdychowska, odwrót od wizji Piłsudski–Giedroyc–Mieroszewski, ale ściągnięcie tej wizji na ziemię. Oznacza to, że tylko tyle możemy w tej chwili naszymi środkami dokonać. Okazuje się bowiem, o czym nasi ukraińscy i białoruscy przyjaciele zdają się pamiętać lepiej, niż nasi dobroduszni ukrainofile, że mamy do czynienia ze społeczeństwami straszliwie skażonymi sowytyzmem. Żeby wyleczyć chorobę, należy o niej wiedzieć, a nie zamykać oczy i udawać, że te problemy nie istnieją. Nasze życzenia faktów nie zastępują, podobnie jak nasze ambicje polityczne nie wygrają z olbrzymią penetracją gospodarczą Rosji na Ukrainie i Białorusi, powodującą uzależnienie ekonomiczne, a co za tym idzie, polityczne.

Na koniec rzecz bardzo istotna. Wspominali o tym już Aleksander Smolar, a wcześniej w swym artykule w „Rzeczpospolitej” Kazimierz Wóycicki². Wchodząc do Unii Europejskiej zmienimy swoje instrumentarium, dostaniemy do ręki narzędzia umożliwiające oddziaływanie na nasze zewnętrzne otoczenie w zupełnie nowej skali. Jedną z przyczyn dla których powinniśmy jak najszybciej wejść do Unii są stosunki z naszymi wschodnimi sąsiadami. Wreszcie będziemy mogli pomagać im nie tylko gadaniem, ale także i czynem. Tu wchodzimy w obszar, kiedy będziemy odchodzić od tradycji „Kultury”, ponieważ w jej horyzontach wspólnota europejska nie bardzo się mieściła. Była trochę poza zakresem zainteresowań Maisons-Lafitte. Uważam, że w rozpoczętej już dyskusji nad naszą polityką wschodnią powinniśmy zastanowić się jak wykorzystać, jako argument za szybkim rozszerzeniem Unii, nasze położenie geograficzne. Jak przekonać, że pomożemy ustabilizować ten fragment Europy. Niedawno był w Polsce Raymond Forni - przewodniczący Zgromadzenia Narodowego Francji i na pytanie o perspektywy i konieczność szybkiego rozszerzenia Unii powiedział: „Pierwszy punkt – sytuacja w Rosji”. Okazuje się, że również na Zachodzie są ludzie rozumiejący wagę naszego położenia. I powinniśmy to świadomie wykorzystywać. Po drugie, musimy czym prędzej nauczyć się

² K. Wóycicki, *Nasz los nie decyduje się za Bugiem*, „Rzeczpospolita”, 27 stycznia 2001

myślenia w kategoriach członkostwa, a nie kandydowania. Póki co, na razie robimy to w sposób niesłychanie koślawy, czego ostatnim przykładem jest dokument MSZ-u na temat Konferencji Nicejskiej. Będziemy kandydatami trzy, może cztery lata, ale potem zawrzemy to małżeństwo. A już teraz trzeba myśleć – co wtedy zrobimy i jakie będą nasze wspólne interesy. Dzisiaj są one częściowo konkurencyjne w stosunku do krajów członkowskich, ale potem mają być wspólne i musimy w tej chwili podrzucić im wspólne sposoby takiego myślenia.

I jeszcze jedna uwaga. Przed chwilą zauważono, że w toczonych dyskusjach niemalże nie ma Rosji. Proszę pamiętać, że np. w prasie francuskiej ukazuje się więcej tekstów na tematy rosyjskie, już nie mówiąc o Czeczenii, niż w prasie polskiej. A jeżeli ktoś myśli, że są to artykuły pisane w duchu starych sentymentów francusko-rosyjskich, to się grubo myli. Mam więc nadzieję, że najważniejszym plonem tej dyskusji będzie reorientacja naszych postaw, abyśmy nie gapili się na rzeczywistość, tylko obserwowali ją w sposób aktywny i umieli się w nią włączyć.

JERZY MAREK NOWAKOWSKI: Słuchając prof. Najdera pomyślałem, że w tej debacie wszyscy znakomicie wpasowujemy się w publiczne „gęby”, które nam przyprawiono. Jak wiadomo, mój przedmówca ma gębę „antyamerykańskiego Europejczyka”. Ja odwrotnie. Dlaczego o tym mówię? Zastanawiając się nad polską polityką wschodnią, czy nad polską polityką zagraniczną w ogóle, mam dojmujące wrażenie - któremu towarzyszy spore poczucie również własnej winy - że my, jak ci tuwimowscy straszni mieszczanie, w tej polityce wszystko widzimy osobno. Ta debata, niesłychanie ciekawa, jest w gruncie rzeczy próbą powrotu do sporu pomiędzy romantykami i pozytywistami politycznymi, próbą utrwalania przyprawionych gąb. Otóż myślę, że problemem polityki wschodniej, czy generalnie polityki polskiej w tej chwili, jest jej umiejscowienie w biegu toczących się równolegle procesów. Najgłębszym, w moim przekonaniu, to proces o charakterze strategicznym: zmiana wektorów sporu we współczesnym świecie. Przesuwanie się osi sporu, nie chcę używać słowa konflikt, z kierunku Wschód – Zachód, na Północ – Południe jest faktem powszechnie postrzeganym. To pogranicze pomiędzy Rosją i Polską, które jeszcze niedawno było częścią pogranicza konfliktu, znajduje się nagle w sytuacji dziwnej. Gdy przyglądamy się prowincji ukraińskiej czy rosyjskiej, to na Zachód ona nie wygląda. I chyba sami mieszkańcy nie wiedzą, czy są na Wschodzie, na Północy, czy może na Południu. I my też nie potrafimy określić

charakteru tego obszaru. Na procesy głębokich przemian cywilizacyjnych nakładają się przemiany strategiczne, które określamy niekiedy, może niezbyt precyzyjnie rozszerzeniem NATO i Unii Europejskiej. One dotyczą Polski w sposób bardzo wyraźny i powodują, że sami zmieniamy styl i sposób myślenia.

Teksty Bartłomieja Sienkiewicza przypominają mi wypowiedzi niesłyszane życzliwych Polsce zachodnich analityków piszących o naszym kraju siedem albo osiem lat temu. Żywili oni sympatię, a jednocześnie obawę, że ta dziwna, niestabilna, słaba, biedna i cywilizacyjnie nieco odległa Polska nagle ma się znaleźć we wspólnym domu. Podobną obawę dostrzegam w tekstach Sienkiewicza. Nasza dzisiejsza postawa wobec wprowadzenia wiz dla naszych sąsiadów ze Wschodu jest powtórzeniem obaw zachodnich partnerów, gdy staraliśmy się parę lat temu o ich zniesienie dla naszych obywateli. Oczywiście, pamiętam, to jest inna sytuacja, ale jesteśmy nie tylko podmiotem, ale również psychologiczną ofiarą procesu rozszerzenia. Zaczynamy sami - dotyczy to szczególnie polskich elit politycznych - czuć się członkami ekskluzywnego zachodniego klubu. Wcześniej krzyczeliśmy: Klub powinien być otwarty! Teraz mówimy, że *„klub powinien być otwarty, ale...”*. I to „ale” ma różne wymiary. Właśnie artykuł Wojciecha Maziarskiego³ postrzegam jako protest starego romantyka, który siedział na Śnieżce z Czechami, pił piwo i nagle widzi, że ten świat ludzi w swetrach z kuflami piwa w ręce gdzieś ginie, zamienia się w świat facetów w garniturach, którzy liczą zyski i straty. I krzyknął w rozpacz: Nie, mnie się to nie podoba. Ale jest to krzyk, który nie zmienia faktu, że większość z nas w garnitury się przebrała.

Kolejnym elementem dzisiejszej polityki wschodniej są procesy - również o charakterze globalnym - demokratyzacji, budowy społeczeństw obywatelskich. Jeżeli jednak spróbowalibyśmy kryteria klasycznej demokracji wzięte z Tocqueville’a przykladać do współczesnych „demokracji postsowieckich”, to znajdziemy niewiele państw spełniających kryteria modelu idealnego. Większość krajów jest w różnych punktach transformacji. I co byśmy nie mówili o współczesnej Ukrainie, Litwie, Białorusi, to niewątpliwie proces transformowania w kierunku społeczeństw demokratycznych tam się rozpoczął. Ten ruch, miejmy nadzieję, jest ruchem jednokierunkowym. Już widzimy pewne zmiany mentalności społecznej, zachowań, mechanizmów decyzyjnych. „Sprawa Gongadze” jest najlepszym dowodem, że Ukrainy nie można porównywać z Białorusią. Nie będę w tej chwili zastanawiał się nad prawdziwością zarzutów. Uważam, że ta sprawa świadczy, iż na

³ W. Maziarski, *Gdzie jest mój sąsiad?*, „Gazeta Wyborcza”, 6-7 stycznia 2001

Ukrainie nie można decyzją administracyjną zahamować procesu debaty politycznej, procesu politycznego protestu wobec najwyższych władz, który jest jednym z fundamentalnych elementów mechanizmu demokratyzacji.

I wreszcie czwarty element: przemiany ekonomiczne. Uważam, że tym procesom poświęcamy najmniej uwagi. Jest to proces budowania dziwnego, oligarchicznego kapitalizmu w Rosji i naśladowania tego modelu, niestety, na Ukrainie. Zachodzą procesy wyrywania się z modelu oligarchicznego państw bałtyckich, wreszcie narodziny normalnego systemu ekonomicznego w krajach Azji Środkowej i Zakaukazia. Przeglądając długą listę państw postsowieckich, a może więcej – postkomunistycznych, nie znajdziemy państw znajdujących się w identycznym punkcie procesów transformacyjnych. Są one uwarunkowane tradycją i historią, stymulowane poprzez realność sił gospodarczych poszczególnych państw, w tym również możliwość ekstensywnego rozwoju, którego przykładem jest Rosja. Wreszcie przez możliwość współpracy z krajami sąsiednimi, czego przykładem jest Estonia, będąca gospodarką satelitarną Finlandii, z odmiennym modelem niż pozostałe dwa kraje bałtyckie. Warto poświęcić tym procesom więcej miejsca.

Na te nowe procesy strategiczne i ekonomiczne nakłada się proces budowania nowej infrastruktury europejskiej: ekonomicznej i transportowej. Ona rodzi się na naszych oczach. Pamiętajmy o awanturach o gazociągi, światłowody *etc.* Są one dowodem, że budowa infrastrukturalnej wizji nowej Europy Środkowej i Wschodniej staje się realnym problemem. Jeżeli nie będziemy brali pod uwagę tych czterech procesów przy konstruowaniu naszej polityki wschodniej, to zawsze będzie ona kulawa albo jednowymiarowa. Muszę się przyznać, że parę dni temu zostałem namówiony przez redaktorów „Gazety Polskiej” do udzielenia wywiadu na temat polityki zagranicznej i zauważyłem podczas autoryzacji, że wskazałem tam na te same problemy, co cztery lata temu polemizując z polityką ministra Rosatiego: Brak syntezy nadal jest obecny w naszym myśleniu politycznym, w szczególności dotyczącym Wschodu. Nasza dyskusja bywa zazwyczaj dyskusją albo o Mickiewiczu, albo o Gudzowatym. Nie ma niczego po środku.

Odnosząc się do pewnych konkretów – mamy problem granicy, wprowadzenia regulacji z Schoengen. W kilku tekstach w „Tygodniku” i „Gazecie Wyborczej” uznano to za dowód, że Polacy są zimnymi, paskudnymi pragmatykami, którzy nie potrafią wyartykułować na granicy swojej miłości do partnerów ze Wschodu. Jest też postawa inna - jak powiedział Zdzisław Najder - o tym się nie dyskutuje. A przecież nie jest ani tak dobrze, ani tak źle. Wprowadzenie reżimu Schoengen to jest nasza decyzja polityczna. Wielu naszych

zachodnich przyjaciół, a najczęściej „przyjaciół”, mówi z zachwytem: Tak, kochajcie Ukraińców i nie wchodźcie do układu z Schoengen, dostaniecie piękny okres przejściowy. Tylko co to oznacza? Nasi „przyjaciele” zamierzają granicę schoengeńską pozostawić na naszej granicy zachodniej. Najkrócej mówiąc, pozostałibyśmy poza wspólnym obszarem gospodarczym i politycznym Unii Europejskiej. I pozostałibyśmy otwarci. Tylko co to by było za otwarcie? Odgrywalibyśmy rolę strefy buforowej, którą wielokrotnie różni partnerzy w światowej grze politycznej próbowali nam przypisać. Powinniśmy zapomnieć o takim kierunku myślenia, ponieważ w naszym interesie jest zarzucenie solidnej kotwicy w zachodnim porcie cywilizacyjnym, militarnym i gospodarczym. W tej sytuacji trudno jest debatować o Schoengen, a jednocześnie należy powiedzieć naszym wschodnim przyjaciołom czy partnerom, że niewprowadzenie regulacji z Schoengen jest wbrew ich interesom. Jeżeli np. obywatel Ukrainy dostanie wizę do Polski będącej krajem Unii Europejskiej, to po przekroczeniu granicy w Medyce schowa swój paszport do kieszeni i pojedzie do Lizbony przez nikogo już nie niepokojony. Dla sąsiadów ze Wschodu ludzi, którzy nie chcą łowić ryb w mętnej wodzie „mrówczego” handlu, ale naprawdę współpracować, zbliżać się do Zachodu, to jest dużo bardziej atrakcyjne. Tylko kolejka w polskiej ambasadzie po tę wizę do całej Europy musi być krótka. To także element kształtowania naszego wizerunku.

Po drugie, chciałbym ostro nie zgodzić się z jedną z wypowiedzi prof. Najdera. Mówi się, że Unia Europejska i horyzont kultury czy cywilizacji europejskiej to są rzeczy rozdzielne. I że w Unii tego horyzontu brakuje. Uważam, że jeżeli go nie ma, to musi się pojawić. Rozszerzając się Unia rezygnuje z roli kartelu państw bardzo bogatych i zaprasza do swego grona państwa średniozamożne. W tym momencie Unia musi sobie zadać pytanie, co więcej, jej obywatele muszą je postawić: po jakiego - przepraszam - diabła zapraszamy Polaków, Litwinów czy kogokolwiek innego? Po co nam ten kłopot na głowie? Odpowiedzi nie znajdzie się w polityce, lecz w kulturze i cywilizacji. Unia poszerza się, ponieważ dąży do zrealizowania celu, jakim jest zrównanie granic politycznej Europy z jej z granicami kulturowo-cywilizacyjnymi. W tym momencie problem horyzontów kultury Unii pojawi się bardzo wyraziście. Uważam, że należałoby szczegółowo przestudiować politykę zagraniczną i politykę unijną Hiszpanii w ostatnich latach, ponieważ istnieje pewna analogia pomiędzy jej specjalnymi związkami z krajami hiszpańskojęzycznymi, głównie z Ameryką Łacińską i Afryką Północną, a tym, co chcielibyśmy wnosić do Unii poprzez nasze kontakty z partnerami na Wschodzie. Tu pojawia się pytanie o promocję

krajów postsowieckiego obszaru jako potencjalnych członków Unii Europejskiej i NATO. Pamiętam dowcip rzucony półpublicznie przez kanclerza Niemiec w czasie spotkania w Gnieźnie. Po rozmowie, w której premier Buzek bardzo mocno podkreślał potrzebę stworzenia dla Ukrainy europejskiej perspektywy, kanclerz zażartował: „No mój przyjaciel Jerzy właśnie rozmawiał ze mną o wprowadzeniu Chin do Unii Europejskiej”. Dowcip to kiepski, bo jeżeli Unia Europejska ma doprowadzić do ujednolicenia granic kulturowych i politycznych Europy, to nie może unikać pytania o Ukrainę, Białoruś czy Mołdowę - której to, rozmawiając o sprawach postsowieckich, nie zauważamy. (Nie mieści się ona w żadnej z używanych przez nas chętnie kategorii, ani to „ULB”, ani „Kaukaz – Azja Środkowa”, ani „Bałtowie”).

Mówiąc o tych krajach należy pamiętać, że są one rozpięte pomiędzy dwiema rzeczywistościami kulturowymi. I mogą pójść w dwie strony. Czy pójdą na Zachód, czy na Wschód, w jakiejś mierze zależy od polityki Zachodu. Polityka polska oczywiście dysponuje słabymi instrumentami, ale czy my z nich korzystamy? Od dziesięciu lat toczy się debata na temat polskiej obecności kulturalnej, językowej i medialnej na obszarze postsowieckim. Przypomnę, że startowaliśmy z pozycji znakomitej. Polskiego uczono się w sferach elit moskiewskich i petersburskich by czytać polskie gazety. Znam dziesiątki wybitnych Rosjan z niezwykłym Josifem Brodskim na czele, którzy poprzez nasz język korzystali z zachodniej oferty kulturalnej. I oto po roku 1989 minister finansów, wicepremier Leszek Balcerowicz zdecydował, że nie będziemy robili ułatwień dla eksportu polskiej prasy. I nagle „Gazeta Wyborcza” zniknęła z kiosków w Moskwie. Podejmowane nie tak dawno przez przedsiębiorców inicjatywy wejścia polskich prywatnych telewizji na Ukrainę również nie spotkały się z żadnym realnym wsparciem ekonomicznym, a przecież walka o przestrzeń informacyjną jest walką o zachodnią część duszy obywateli tego obszaru. I tak dalej.... Tylko narzuca się pytanie, gdzie widzimy nasze interesy? Jeżeli chcemy mieć przyjaznego, prozachodniego sąsiada, to musimy inwestować, bo jest to nasza polisa ubezpieczeniowa. I na koniec, pytanie o brak Rosji. Jej nieobecność w tej debacie jest, jak sądzę, również wynikiem tego, że nasi partnerzy w Moskwie przez cztery lata nie byli w stanie odpowiedzieć na proste pytanie: Czego chcą? Przez cały czas konstruując politykę wobec Rosji mieliśmy wrażenie wchodzenia na lotny piasek. Dzisiaj już pojawiła się pewna wizja tego państwa. Nie przeceniam prezydenta Putina, ale tworzony przez niego model Rosji nie jest w moim przekonaniu, sympatyczny. Zaczynamy wracać do tej debaty, o której Bartłomiej Sienkiewicz powiada, że jej już nie ma. Czyli rozmowy o strefie

wpływów rozumianej jako wpływy i kulturowe i polityczne na obszarze dawnego śródziemnomorza. To nie jest dobry cykl nauki. Do tej polityki rosyjskiej, myślę, odnosić się już można. Do tego, co działo się przez parę lat było trudno.

ZDZISŁAW NAJDER: Doszło do nieporozumienia. Nie twierdziłem, że w Unii Europejskiej brak wizji historycznej. Powiedziałem tylko, że w prowadzonych tam dyskusjach nie było mowy o tym, że my mamy z naszymi sąsiadami wspólną historię.

DARIUSZ ROSATI: Nie jest łatwą sprawą wypowiedzieć się na temat polityki wschodniej w ciągu piętnastu minut. Z całą pewnością nie uda mi się uniknąć pewnych powtórzeń i być może stwierdzeń aż nadto ogólnych, za co z góry przepraszam. Zacznę od kilku słów na temat bilansu dokonań. Rok 2001 zamyka dziesięcioletni okres polityki wschodniej Polski niepodległej. W tej perspektywie można pokusić się o ocenę tej dekady, określić jej słabości i osiągnięcia. Pozwoli to prowadzić bardziej efektywne i skuteczne działania lepiej odpowiadające naszym interesom. Początki były bardzo obiecujące. Polska - trzeba tutaj wyrazić najwyższe uznanie dla twórców niezależnej polityki zagranicznej w pierwszych latach trzeciej Rzeczypospolitej - była w stanie szybko wypracować nową politykę zagraniczną wobec Wschodu – jej ważnym składnikiem była wspomniana już tutaj idea dwutorowości działań. Prowadzono rozmowy z istniejącym jeszcze Związkiem Radzieckim i równolegle z republikami związkowymi, które później stały się państwami niezależnymi. Szybko zareagowaliśmy na powstanie niepodległej Ukrainy, ale w odniesieniu do Litwy już tego refleksu zabrakło. Mam jednak wrażenie, że po tym niezłym otwarciu i za deklaracjami z początku ubiegłej dekady nie poszły dalej idące przedsięwzięcia. W istocie rzeczy ta polityka w dużym stopniu zakończyła się na poziomie deklaracji.

Dzisiaj, obraz stosunków Polski z krajami wschodnimi może rozczarowywać, zwłaszcza dla tych, którzy żywili wielkie nadzieje. Zapewne najlepiej wyglądają nasze relacje z Litwą, ale szczerze mówiąc nie wiem, czy proeuropejskość Litwy jest wynikiem miłości do Polski, do Unii Europejskiej czy w ogóle do Zachodu? Po prostu, idziemy w tym samym kierunku. Natomiast stosunki bilateralne przez wiele lat pozostawały na poziomie niezadowolającym. Dlaczego tak się stało? Różne były tego powody min.: niedostateczne niezaangażowanie Polski, nieumiejętności rozdzielania naszej polityki wobec polonii litewskiej i wobec państwa litewskiego. Nasze stosunki z Ukrainą również nie dają wiele powodów do

satysfakcji, bo poza doskonałymi kontaktami pomiędzy prezydentami obu państw, częstymi kontaktami obu państw na poziomie politycznym rządów i parlamentu, te stosunki nie wyszły poza dość ogólnikowe deklaracje. Mówimy od wielu lat o strategicznym partnerstwie, ale czy to partnerstwo przekuło się w związki, które rzeczywiście uzależniałyby oba kraje od siebie i dawałyby podstawę do twierdzenia, że polityka Polski i Ukrainy jest oparta na jakiejś wspólnie wypracowanej wizji? Konflikty pojawiające się w stosunkach z Ukraińcami są ciągle te same: cmentarz Orłąt we Lwowie, polskie pamiątki na tamtym terenie, prawa ukraińskiej mniejszości w Polsce, etc. Ostatni spór o gazociąg ujawnił brak podstaw do wspólnego myślenia o ważnych sprawach i doprowadził do dosyć ambarasujących nieporozumień między przedstawicielami rządów obu krajów. O Białorusi trudno dużo mówić, przez dziesięć lat nie poczyniliśmy żadnych kroków naprzód. Z Mołdawią niemalże nie mamy kontaktów. Pozostaje Rosja. Tu najmniej się zmieniło. Zaczynaliśmy w dość trudnym okresie i te napięte stosunki trwają do dzisiaj. Mamy cały szereg nie załatwionych spraw: umowę o readmisji, problem połowów na Morzu Ochockim, Cieśnina Piławska, tranzyt. Te sprawy można by długo wyliczać. Można zatem powiedzieć, że po początkowym otwarciu, gdy wydawało się, że istnieje jakaś wizja stosunków Polski z krajami położonymi na wschód od naszych granic, polityka wschodnia ugrzęzła w jakiejś niemożności.

Dlaczego tak się stało? Zgadzam się z częścią tu wygłoszonych opinii. Pewnie zawinił rewolucyjny romantyzm, który cechował nasze działania. Główną ideą była chęć doprowadzenia do powstania na wschód od naszych granic demokratycznych, niepodległych państw. Staraliśmy się zaszcześcić tam te wszystkie idee, które u nas w owym czasie burzliwie wprowadzaliśmy w życie. Sądzę, że zanadto ulegaliśmy „syndromowi lustra”: widzieliśmy w sąsiadach nas samych i przypisywaliśmy im te same oczekiwania i te same dążenia, które u nas uzewnętrzniły się w latach 1989-91. Wydaje mi się ponadto, że do pewnego stopnia te nasze oczekiwania rozminęły się z oczekiwaniami naszych partnerów. Oczywiście, na początku, były silne ruchy polityczne, które prezentowały zbliżoną wizję polityczną do tego, co było dominującym kierunkiem politycznego myślenia w Polsce: Ruch na Ukrainie, czy Białoruski Front Narodowy. Szybko się jednak okazało, że te ugrupowania nie dominują w polityce wewnętrznej w swoich krajach, iż tamtejsze społeczeństwa, wbrew naszym oczekiwaniom były bardziej zsowietyzowane, zrusyfikowane, a ich oczekiwania dotyczyły bardziej sfery poprawy materialnego losu, a niżeli czerpania satysfakcji ze zdobytej niepodległości czy swobód obywatelskich. Wiem,

że to duże uproszczenie, ale była rozbieżność pomiędzy naszym widzeniem tych krajów, a ich rzeczywistością i tym, czego oczekiwano od Polski jako zachodniego sąsiada.

Najbardziej karygodne było to, że tej nie do końca prawidłowej diagnozie stanu tamtejszych społeczeństw i deklaracjom o ważności stosunków z Litwą i Ukrainą, nie towarzyszyły praktycznie żadne konkretne działania. Polska w dużym stopniu, poza kontaktami na najwyższym szczeblu politycznym, była nieobecna, za wyjątkiem drobnego biznesu i tzw. „turystów”, którzy utrzymywali kontakty w rejonach transgranicznych. Nie było próby zaszczepienia wśród szeroko pojętych elit, a zwłaszcza młodzieży, sposobu widzenia świata i modelu państwa proeuropejskiego, budowanego u nas od dziesięciu lat. Uważam, że ta sytuacja powinna ulec zmianie. Polityka zagraniczna w odniesieniu do Wschodu wymaga dokonania na nowo realnej diagnozy, pozbawionej elementów romantyzmu osadzonego w bardzo odległej przeszłości, i wolnej od sentymentów i resentymentów, zwłaszcza w odniesieniu do krajów, które były kiedyś częścią Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Po pierwsze, konieczne jest osadzenie tej polityki wschodniej w całokształcie polskiej polityki zagranicznej. To nie może być odrębny fragment. Musi to być część polityki europejskiej, której głównymi wytycznymi jest integracja europejska, wejście do Unii Europejskiej i członkostwo w NATO. Czasami dostrzegamy sztuczne dylematy, ale są też rzeczywiste konflikty, na które nie mamy odpowiedzi. Przykładem mogą być wizy dla obywateli WNP, które wzbudziły tu tyle kontrowersji. Nie zawsze umiemy udzielić właściwej odpowiedzi na pytania o politykę wschodnią z punktu widzenia orientacji europejskiej, którą przyjęliśmy. A zatem nie powinniśmy jej budować od nowa, jako coś odrębnego. Ale poważną ofertą nie jest odwołanie się do idei jagiellońskiej, czy do idei międzymorza. Jediną konkretną i skuteczną propozycją jest idea proeuropejska. Doktryna Mieroszewskiego–Giedroycia, która tak bardzo zainspirowała polską politykę wschodnią, z całą pewnością jest ideą, która winna na trwałe tkwić w naszym myśleniu o polityce zagranicznej. Ale mam do niej dwa zastrzeżenia. Została ona sformułowana w innym, odległym historycznie czasie i nie bierze pod uwagę pewnych realiów współczesności. Jej autorzy dostrzegali nacjonalistyczną Ukrainę i Białoruś zainteresowaną niepodległością w ich częściach polskich. Pragnęli ufać zarazem w ich antyrosyjskość, stąd idea tworzenia czy też wspierania procesu tworzenia państw niepodległych na Wschód od naszych granic jako pewnego zabezpieczenia przed imperialnymi zakusami Rosji. Takie myślenie było zapewne dyktowane także poczuciem winy wobec tego obszaru. Giedroyc i Mieroszewski byli więc orędownikami uznania niepodległości tych krajów, być może mając na uwadze

przedwojenne nasze doświadczenia. Ale u podstaw tej idei leżało przede wszystkim przekonanie, że są to kraje zdecydowane na własną niepodległość, mające jasną wizję swojej państwowości i w miarę „antyrosyjskie”. Patrząc z obecnej perspektywy uważam, że naiwnością jest sądzić, że te państwa mogłyby być dostatecznie niezależne od Rosji, aby stworzyć to, co w oczach Giedroycia i Mieroszewskiego miało być gwarancją bezpieczeństwa Polski. Mając za sobą doświadczenie ostatniej dekady, podczas której Ukraina i Białoruś poszukiwały własnych dróg rozwoju, widzimy, że są one wciąż słabe, a Rosja ma tam nadal bardzo duże wpływy. Oczekiwanie, że w sposób stanowczy będą się przeciwstawiały pewnym posunięciom rosyjskim, czy też rosyjskiej tendencji do dominacji w regionie świadczy o uleganiu iluzjom. Liczenie, że może powstać pas niezależnych państw jest sprzeczne z rozumowaniem w kategoriach *Realpolitik* - po prostu istnieje bardzo silny partner na Wschodzie i naturalną tendencją tych państw będzie kierowanie się, a nawet ciążenie w jego stronę. Chyba że, i to jest sprawa kluczowa, zaoferuje im się rzeczywistą alternatywę. Polska nie była w stanie jej zaoferować, chociaż werbalnie złożyliśmy bardzo wiele deklaracji. Weźmy więc z doktryny Giedroycia-Mieroszewskiego jej istotę, to co jest najbardziej wartościowe, a mianowicie szacunek dla tych państw i uznanie dla ich niepodległości.

Polska musi jednak wyjść niejako poza tę doktrynę i zaoferować alternatywą drogę rozwoju, która musi być związana z propozycją europejską - nie może być to polska, autorska oferta. Tylko, jak wpisać w tę propozycję naszą politykę zagraniczną wobec Wschodu? Przede wszystkim należy uznać, że są to kraje różne: inna jest Rosja, inna Ukraina, inna Litwa, inna Białoruś i Mołdowa. Litwa będzie członkiem Unii Europejskiej i powinniśmy wobec niej prowadzić politykę pełnej integracji. Mogłaby ona być nawet szybsza niż sam proces wchodzenia do Unii Europejskiej, ale ta szansa została zaprzepaszczone kilka lat temu, chociaż była gotowość po stronie litewskiej. Niemniej ta polityka jest określona wspólnymi celami strategicznymi obu krajów. Bardziej skomplikowana jest sytuacja Ukrainy. Musimy pamiętać, że jest to kraj bardzo zróżnicowany. Bohdan Cywiński niedawno w „Rzeczpospolitej”⁴ nazwał tereny na wschód od naszych granic „krawędzią” obszaru, który był traktowany jako teren duchowej jedności Europy. Nie wiemy, czy ta granica przebiega przez środek, czy przez wschodnią część Ukrainy, możemy jedynie powiedzieć, że jest to pogranicze cywilizacji zachodniej. Również Polska, przez tysiąc lat będąc krajem granicznym, wytworzyła rodzaj syndromu

⁴ B. Cywiński, *Saper na krawędzi Europy*, „Rzeczpospolita”, 24-25 lutego 2001.

pogranicza: będąc krajem z gruntu europejskim, mając kulturę, cywilizację i religię związaną z zachodnią Europą, głównie patrzyliśmy na Wschód, tam był obszar naszej ekspansji, naszych interesów, jak to określano przez stulecia. Było to dyktowane układem sił. Trudno było być może realizować w owym czasie ekspansję na Zachód, Wschód oferował lepsze możliwości. Polska była krajem zwróconym na Wschód także dlatego, że zagrożenia przychodziły na ogół ze Wschodu i Południa. Walki z Turcją lub z Rosją były zmaganiem o narodowy byt.

Wracając do problemu odrębności tych krajów. Ukraina po dziesięciu latach nadal poszukuje własnej tożsamości i jest trudno być przekonanym co do kierunku jej rozwoju. Poważnym błędem polskiej polityki zagranicznej było ignorowanie konieczności bardzo aktywnego występowania na Ukrainie, nie w sposób deklaracyjny, ale pozwalający na zaangażowanie znacznie większych środków i metod docierania do elit, do młodzieży, docierania do różnych warstw społecznych z przesłaniem, że europejski model państwa i gospodarki jest czymś, co przyniesie im korzyści. Dla części ludności Ukrainy, a także Białorusi rzeczywistą alternatywą jest bliższy związek z Rosją, to co oni z własnego doświadczenia pamiętają jako jakoś tam funkcjonujący system, który w porównaniu z obecnym bałaganem jest propozycją cieszącą się dużym i chyba rosnącym poparciem. Jeżeli Polska nie podejmie wysiłku prezentowania walorów europejskiego modelu państwa demokratyczno-liberalnego i walorów gospodarki rynkowej, opartych na praworządności, własności prywatnej, na rozdziale kompetencji instytucji państwowych, przejrzystości procesów i procedur podejmowania decyzji, szansa na przyciągnięcie i zakotwiczenie Białorusi i Ukrainy w Europie zostanie zaprzepaszczona. Zatem rzeczą niezbędną jest, mówiąc bardzo prozaicznie, by w budżecie państwa znalazły się środki na podtrzymywanie demokratycznego kierunku rozwoju obu tych państw, aby, jak to tutaj nazwano, nasza „polisa ubezpieczeniowa” w przyszłości przyniosła skutek.

I wreszcie Rosja. Ten kraj też poszukuje swojej tożsamości i nie jest to jasne, czy chce być imperium, czy też krajem demokratycznym. Jest to kraj z wolną prasą, z wolnymi wyborami parlamentarnymi, a z drugiej strony stosuje praktyki skrajnie niedemokratyczne, np. w polityce narodowościowej. Również w jej polityce zagranicznej obserwujemy to poszukiwanie, czego przykładem są stosunki z tzw. *rogue countries*, czyli z Iranem i Irakiem, dozbrajanie Chin i Indii, które przecież są rywalami Rosji, nagły szantaż gazowy w stosunku do Gruzji, próba napinania mięśni w enklawie kaliningradzkiej, i tak dalej. To

są niejasne i niekonsekwentne sygnały, które świadczą, że Rosja nadal poszukuje swojej roli w świecie.

Moim zdaniem Polska powinna prowadzić spokojną i konsekwentną politykę, ze stałymi priorytetami i jest to jedyne rozwiązanie trudnego stanu stosunków polsko-rosyjskich. Rosja w końcu przejdzie od irytacji związanej z traktowaniem zbuntowanego wasala, a następnie ignorancji, bo takie właśnie fazy można było w polityce rosyjskiej ostatnio zaobserwować, do uznania Polski za partnera, z którym warto i trzeba rozmawiać, nie tylko dlatego, że posiada dużą i silną gospodarkę - przypomnę: 170 mld dolarów produkt krajowy brutto Polski a 220 mld Rosji, ale także kraj, który leży na drodze tranzytu do Unii Europejskiej i jako przyszły kraj członkowski wniesie do Unii wymiar wschodni i będzie w dużym stopniu kształtować politykę Unii Europejskiej, a także Sojuszu Atlantyckiego w stosunku do Rosji. To perspektywa na przyszłość, ale jeżeli będziemy świadomi naszych celów i konsekwentnie je realizowali w ramach polityki zagranicznej, a nie tylko w wyodrębnionej polityce wschodniej, to możemy liczyć na sukces.

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ: Ponieważ już zaprzętałem uwagę czytelników byłoby, jakimś nadużyciem cierpliwości, gdybym mówił tak długo, jak moi poprzednicy. Na początku krótko o tekście, który wywołał tę dyskusję. Jest to próba przepowiedzenia na głos tego, co może być istotne bądź kontrowersyjne, a wynikające z doświadczeń tych dziesięciu lat w zakresie polskiej polityki zagranicznej na wschodzie. I muszę powiedzieć, że wywołany efekt jest dość zdumiewający, ponieważ toczy się rozmowa nie o instrumentarium polskiej polityki zagranicznej czy możliwościach działania, tylko o ideach, aktualności programu Mieroszewskiego i Giedroycia. To stało się, jak dotąd, dominującym nurtem dyskusji. I ma rację Zdzisław Najder mówiąc, że moim celem nie było powiedzenie, że mamy do czynienia z pewną koncepcją, która jest nieaktualna i można ją odłożyć do lamusa, tylko głośnie postawienie pytania, czym wypełnić to dziedzictwo, by nadal być wiernym zasadniczemu przesłaniu tej idei. I jeśli nie było to oczywiste dla czytelników, to oznacza, że artykuł został źle napisany. Po drugie, jeżeli w dyskusję o charakterze polityki zagranicznej włącza się jeden z największych poetów polskich w historii - Czesław Miłosz - to zaczyna ona najwyraźniej zeglować w stronę sporu o tożsamość. Mam wrażenie, że bardzo trafnie Aleksander Smolar zauważył to dotknięcie pewnej bardzo czulej struny: maszerując na Zachód mamy głowę odwróconą na Wschód. Okazuje się, że pytanie o polską politykę wschodnią, proszę mi wybaczyć obrzydliwe słowo, kryteryjnie zadane w

zakresie dyplomacji rozumianej *sensu stricte*, nieuchronnie prowadzi do pytania o polską tożsamość. Do pytania, gdzie widzimy jako naród, społeczność, swoje miejsce w świecie? Jak możemy zobaczyć to swoje miejsce w świecie w zderzeniu z krajami sąsiedzkimi? Przyznam się, że tak dalekiego efektu tej dyskusji nie spodziewałem się.

Następna sprawa dotyczy samej polityki zagranicznej. Zgadzam się z Jerzym Markiem Nowakowskim, że o naszym miejscu wobec wschodnich sąsiadów będzie w dużej części decydowała wydolność ekonomiczna w obrębie państwa polskiego oraz to, co można nazwać wartością strukturalną. Jeśli jesteśmy dzisiaj interesującym partnerem dla społeczeństw Ukrainy, Białorusi, Litwy, to nie dlatego, że kiedyś polska szlachta mieszkała w sąsiedztwie starszych pokoleń w tych krajach i można tam jeszcze zobaczyć, niczym porzucone skorupki ślimaków, fragmenty materialnej obecności Polski, tylko jako kawałek Zachodu. Trochę gorszy, ale łatwiej przyswajalny. Pamiętam sentencję Krzysztofa Skubiszewskiego: szanse polskiej polityki wschodniej są prostą funkcją sukcesów polskiej polityki na Zachodzie. Co więcej, przyjmując takie założenie muszę odrzucić zarzut, który się pojawił w tej dyskusji, że sensem mojej propozycji jest próba zamknięcia klubu zanim on się rozszerzy. Istotą tej mojej diagnozy jest, że możemy pragnąć rozszerzać ten klub, ale nie będzie sposobu, by przyjąć nowych członków. Nie dlatego, że jesteśmy egoistyczni, ale kryteria w nim ustanowione - w tej chwili sami im podlegamy - w perspektywie co najmniej dekady nie będą do spełnienia ani przez Ukrainę, ani przez Białoruś. Powstaje zatem pytanie: na czym budować relacje z państwami, które są naszymi bezpośrednimi sąsiadami, a które nie mają szans na status kandydacki w Unii Europejskiej w dającej się przewidzieć politycznie perspektywie.

Kolejny element. Mam wrażenie, że polskie myślenie o tzw. krajach międzymorza jest przede wszystkim myśleniem strachu. To lęk przed Rosją porządkuje nasze myślenie o wschodnich sąsiadach. Jakiegokolwiek koncepcje, które pojawiały się od stu lat, zawsze mają ten kraj za punkt odniesienia. Tymczasem skuteczna polityka zagraniczna musi być w stanie uwalniać się od strachu. Potrafi zobaczyć rzeczywistość nie poprzez lęk, który może być silnie uzasadniony historycznie, tylko dostrzec swoje realne interesy. Po prostu napisałem odezwę o tym, żebyśmy spróbowali określić nasze realne interesy w krajach sąsiedzkich, a Rosję zostawili troszeczkę z boku. Z tego krótkiego przedstawienia wynikało, że nakazem chwili jest wypracowanie pewnej zdolności Polski do prowadzenia polityki razem z Litwą - chodzi przede wszystkim o Obwód Kaliningradzki i dalsze rozszerzenie Unii Europejskiej i NATO - ponieważ to będzie decydowało o tym, czy przez

inne społeczeństwa i polityków tego regionu będziemy postrzegani jako państwo skuteczne, wiarygodne, jako partner, którego zobowiązania publiczne zamieniają się w rzeczywistość. Może nią być np. członkostwo Litwy w Unii. Polityka jest zawsze kombinacją zasad i interesów - to oczywisty banał, który jednak chciałbym zilustrować pewnymi cyframi. Otóż z Ukrainą, która odnawiana jest przez wszystkie przypadki jako państwo strategiczne dla Polski, obrót handlowy za rok 1999 wynosi 1,4 % ogólnego obrotu handlowego naszego kraju. Nie da się prowadzić skutecznej polityki wobec państwa i głosić, że to jest nasz partner strategiczny i budować wizję takiej polityki w momencie, kiedy wymiana towarowa jest na takim poziomie. To jest po prostu fikcja. Nie wnioskuję w powody tego stanu rzeczy. Stwierdzam fakt: między Polską a Ukrainą jest mnóstwo emocji, dobrego klimatu i została wykonana bardzo dobra praca, ale w zakresie realnych związków gospodarczych to państwo dla Polski *de facto* nie istnieje. Co więcej, Białoruś to jest 0,7% wymiany towarowej z Polską a Rosja, która jest dawcą znacznej części energii i wydawałoby się, że jej poziom obrotów towarowych jest znacznie wyższy, to 4,5%. Co to znaczy w porównaniu z 29% obrotów z Niemcami, czy z Wielką Brytanią gdzie mamy poziom wymiany handlowej wysokości 4,3%? To musi wywołać pytanie: gdzie popełniliśmy błąd? Czy to błąd założenia, czy błąd wykonania? Jeśli chcemy traktować te państwa priorytetowo, to przy pomocy jakich instrumentów chcemy uzyskiwać te bliższe związki? Litwa, z którą szczególnie powinniśmy zacieśniać kontakty, jest trzecim naszym partnerem handlowym z wymianą na poziomie około 5%. Ten wynik też nie jest nadzwyczajny, bo nie uważam, że jest to rynek, który stanowi barierę nie do przejścia dla polskiego kapitału.

Kończąc, chciałbym powiedzieć, że tym rzeczywistym impulsem do napisania artykułu - o ile mogę dokonać pewnego wyznania emocjonalnego - było przekonanie o wewnętrznej słabości państwa polskiego, tak dalekiej, że ambicje, które nie są równoważone trzeźwym patrzeniem na nasze możliwości mogą prowadzić do klęski i rozczarowania. Dla mnie, jako obywatela tego kraju, jest nie do udźwignięcia fakt, że po siedmiu latach międzyrządowej umowy gazowej między Polską a Rosją, dopiero ten rząd zaczął wyjaśniać problemy jakie przez ten czas narosły. I to zaczął to robić nie dlatego, że uznał je za istotny interes państwa polskiego, tylko został zmuszony do tego przez opinię publiczną. I jeśli takie państwo chce mieć ambicje oddziaływania na obszar liczący dziesiątki milionów ludzi i budować instrumentarium skutecznej polityki zagranicznej, to w pierwszym rządzie winno się dokonać pewnego szacunku własnych wewnętrznych możliwości. W przeciwnym wypadku rozczarowanie nie będzie li tylko i wyłącznie jękiem zawodu ludzi emocjonalnie

związanych z pewnym sposobem patrzenia na Wschód, ale będzie klęską polskiej polityki zagranicznej, klęską państwa polskiego. Nie koncepcji, nie idei, ale państwa.

I ostatnia uwaga. Idee są tak długo żywe, póki się o nich dyskutuje. Jakakolwiek próba stworzenia kanonu myślenia Giedroycia i Mieroszewskiego, zamknięcia do szklanej gablotki i stwierdzenia, że świętokradztwem jest próba jej otworzenia, jest dla mnie metodą nie do zaakceptowania. Mój szacunek wobec dzieła paryskiej „Kultury” raczej nakazuje cały czas dopasowywanie tego, co zostało napisane kilkadziesiąt lat wcześniej, do tego co się dzieje w tej chwili. Bo tylko w ten sposób jesteśmy w stanie utrzymać tę ideę przy życiu.

ALEKSANDER SMOLAR: Dziękuję panelistom i zapraszam do dyskusji.

JERZY KŁOCZOWSKI: Powiedziano tu dużo słusznych rzeczy, ale chciałbym dodać, że ten spór łączy się ze sprawą tożsamości Polski. Nasza tożsamość to także wspólna tradycja Rzeczypospolitej, w której mieści się i Białoruś, Litwa i Ukraina. Nie ma tych państw bez wspólnego dziedzictwa Rzeczypospolitej, nie ma i Polski. To wspólne dziedzictwo jest niesłychanie ważne, a jego wymowa dzisiaj jest oczywiście inna niż trzydzieści lat temu, czy też w czasach Piłsudskiego. Pamiętajmy, że Piłsudski czy Giedroyc, to dalszy ciąg myślenia XIX-wiecznego i oczywiście wcześniejszego. Dzisiaj dla naszych sąsiadów to wspólne dziedzictwo społeczno-kulturowe jest najważniejsze, bo jest dziedzictwem europejskim, legitymacją przynależności do Europy. Andrzej Kamiński w wydanej ostatnio *Historii Rzeczypospolitej wielu narodów* przyjmuje, że najważniejszą częścią tego spadku jest społeczeństwo obywatelskie, bez którego nie ma narodów współczesnych, bo poczucie narodowe tak polskie jak i ukraińskie, białoruskie czy litewskie wyrosło z tej tradycji. Dzięki temu możemy dzisiaj wszyscy nazwać się Europą Środkowo-Wschodnią. Dla Polaków stanowi to moralne zobowiązanie. Jeżeli są ludzie, którzy nazywają siebie z przekonaniem Ukraińcami, Białorusinami czy Litwinami to nie wolno nam ich zostawiać, oni muszą mieć poczucie, że zawsze podamy im rękę. Nie wolno tego zrobić w żadnej sytuacji, ponieważ są oni częścią nas, naszego wspólnego dziedzictwa i ich niezależność leży w naszym podstawowym interesie. To wspólne dziedzictwo jest bardzo zasadniczą sprawą - wychodzącą poza Giedroycia, Piłsudskiego - bo dotyczy samej istoty Polski i polskiej kultury. Nasza polityka kulturowa za mało to rozumie, tu są zaniedbania na każdym kroku; podam przykład próby stworzenia polsko-ukraińskiego uniwersytetu w

Lublinie. Tu widać dobrze bezsilność państwa. Konieczne jest podanie ręki przez państwo i społeczeństwo, ale istnieje ogromna dysproporcja między potrzebą a praktyką. Europa to przede wszystkim wspólnota kulturowa, klub ludzi wspólnej kultury; odcinając się od naszych sąsiadów i kulturowego dziedzictwa Rzeczypospolitej, redukujemy zasadniczo nasze miejsce w tym klubie.

WOJCIECH MAZIARSKI: Nie widzę sporu między romantykami a realistami, ale spór o horyzont czasowy. Czy mówiąc o polityce wschodniej mamy myśleć o horyzoncie dziesięciu lat? Naprawdę tego typu gigantyczne projekty liczy się nie na dwa, trzy lata, tylko na dwa, trzy pokolenia. Jak długo zajął proces powstawania Unii Europejskiej poczynając od powołania Wspólnoty Węgla i Stali? Pięćdziesiąt lat. Jeżeli dzisiaj mówimy o polskiej polityce wschodniej, to naprawdę interesuje nas to, co będzie się działo w pokoleniu naszych dzieci i wnuków. Jeżeli ktoś jest dzisiaj rozczarowany zaawansowaniem przemian cywilizacyjnych na Wschód od granic Polski, to nie oznacza, że nasze oczekiwania formułowane lat temu dwadzieścia nie spełniły się, tylko jego myślenie było naiwne. Różnica stopnia zaawansowania przemian cywilizacyjnych i demokratycznych pomiędzy Polską z jednej strony, a Ukrainą i Białorusią z drugiej strony jest taka sama, jak w latach osiemdziesiątych. Mieliliśmy olbrzymi związek obywatelskiego sprzeciwu – „Solidarność”, opozycję demokratyczną i niezależne instytucje życia społecznego. Tam tego wszystkiego nie było. Procesy, które miały miejsce w Polsce dwadzieścia lat temu, dokonują się także na Wschodzie, tylko zajmie to o wiele więcej czasu i trzeba się wykazać cierpliwością. Jeśli mówimy o polskiej polityce wschodniej to potrzebny jest horyzont godny mężów stanu, a nie urzędników, którzy myślą w perspektywie paru lat. Za parę lat wejdziemy do Unii Europejskiej i będziemy w niej państwem pogranicznym. Pytanie jest: czy mamy szansę cokolwiek zrobić, żeby nasze dzieci, nasze wnuki żyły w państwie, które będąc w Unii nie jest państwem położonym na jej krańcu? I rzeczywiście jest to pewne myślenie strachu, ale nie przed Rosją, lecz przed położeniem peryferyjnym, bo takie pogranicza obfitują w napięcia, niepokoje. Co możemy zrobić? Oczywiście, my nie podejmiemy decyzji za społeczeństwo ukraińskie ani nie podejmiemy decyzji w imieniu społeczeństwa białoruskiego. Jedyne, co możemy zrobić, to prowadzić taką politykę, by zwiększyć prawdopodobieństwo, że Białorusini, Ukraińcy opowiedzą się za akcesem do Europy, za europejskim modelem demokracji i gospodarki. Nie może tego zrobić polityka zagraniczna w znaczeniu wąsko rozumianej dyplomacji. Polska polityka wschodnia nie

powinna być jej domeną, tylko całokształtem oddziaływań bodźców wysyłanych ze strony polskiej ku społeczeństwom żyjącym na Wschód od naszych granic. A więc otwarcie się na kontakty ze wschodnimi sąsiadami, umożliwienie przyglądania się polskiej rzeczywistości, bo przecież Polacy też kopiowali wzory, które widzieli w zachodniej Europie. Im więcej będzie takich kontaktów, tym łatwiej będzie Ukraińcom i Białorusinom poznawać polskie realia, obserwować, jak jest zorganizowana polska gmina, jak są zorganizowane polskie fundacje, jak jest zorganizowany handel i przemysł w Polsce. Tym większe będzie prawdopodobieństwo, że zechcą z tych wzorów korzystać. Jeżeli mówimy o instrumentarium polskiej polityki wschodniej, to nie jest to tylko instrumentarium wąsko rozumianej dyplomacji, równie ważnym elementem polskiej polityki wschodniej jest cały system - którego niestety nie ma - stypendiów, wymiany młodzieży, szkoleń. Polską politykę wschodnią rozumiem nie jako dyplomację, i nie jako działania obliczone w horyzoncie kilku lat, tylko jako całokształt kontaktów ze społeczeństwami położonymi na wschód od nas. Te działania muszą być obliczone na kilka pokoleń.

TADEUSZ ANDRZEJ OLSZAŃSKI: Mam wrażenie, także i po tej dyskusji, że nie zauważyliśmy jednej rzeczy. Przez te dziesięć lat nasi wschodni sąsiedzi dojrżeli - nie jako społeczeństwa - tylko jako państwa. Potrafią już samodzielnie formułować swoje cele i priorytety polityczne. I nie mamy prawa tego lekceważyć. Podam dwa przykłady, z pierwszej i drugiej fazy. W połowie lat dziewięćdziesiątych największym sukcesem polskiej polityki wobec Ukrainy było sformułowanie koncepcji zabezpieczenia jej interesów w procesie rozszerzenia NATO, a potem wielki wysiłek polskiej dyplomacji w celu przeforsowania tego rozwiązania. To największy sukces polityki polskiej wobec Ukrainy w minionym dziesięcioleciu, znacznie ważniejszy niż to, że jako pierwsi uznaliśmy jej niepodległość. Drugi przykład, z zeszłego roku. Próbowaliśmy bronić nie interesów Ukrainy, ale czegoś, co w Warszawie wydawało się interesem naszego sąsiada – mówię o sprawie przewiazki gazowej. A Kijów nie zamierzał o to walczyć. Ukraina okrzepła, chce i potrafi prowadzić własną politykę zagraniczną, chociaż może nam się to nie podobać. Ma do tego prawo, także prawo popełnienia własnych błędów. I polska polityka zagraniczna musi się z tym liczyć.

JERZY REGULSKI: Pozwolę sobie zwrócić uwagę na pewne elementy pragmatyczne. Rozumiem, że dyskusja o celach jest konieczna, ale co robić dzisiaj? Jedną z kluczowych

spraw to współpraca bezpośrednia, czyli programy pomocowe dla innych krajów. Miałem możliwość być odbiorcą zachodnich programów pomocowych u początku naszych przekształceń, potem zaś uczestniczyłem w pracach organizacji międzynarodowej tworzącej filozofię pomocy dla innych krajów. Teraz Polska staje się krajem oferującym pomoc, nie zaś odbierającym. To zapotrzebowanie jest bardzo istotne, stale wzrasta, Ukraina jest chociażby zainteresowana naszymi doświadczeniami w decentralizacji kraju, w budowie samorządu i demokracji lokalnej. Uważam, że programy pomocowe powinny się stać istotnym elementem polityki wschodniej Polski. A tak nie jest. Konieczną rzeczą jest utworzenie w centralnych władzach państwowych, ośrodka, kreującego taką politykę, który określiłby priorytety, pomógł organizacyjnie a nawet finansowo. Dotychczasowe źródła finansowe winny wpisać się w te priorytety. Druga sprawa to organizatorzy tych programów. Z przykrością stwierdzam, że w większości przypadków jest to amatorszczyzna. Stąd konieczne jest wykształcenie profesjonalnych organizacji pozarządowych, które mogłyby współzawodniczyć na rynku międzynarodowym. To nie jest łatwe, ponieważ spotykam się z przeciwdziałaniami ze strony dużych zachodnich firm konsultacyjnych, które widząc w nas konkurencję chcą ograniczyć dostęp do międzynarodowych źródeł finansowania. Innymi słowy, problemem jest zorganizowanie polityki programów pomocowych, obejmującej wykształcenie instytucji państwowych określających miejsce, co i gdzie chcemy robić i profesjonalizacja instytucji zdolnych do dokonywania tego typu operacji.

TADEUSZ CHABIERA: Polska zaakceptowała logikę integracji europejskiej, tzn. krok po kroku chce wypełniać i spełnia kryteria członkowskie w Unii. Sądzę, że chcielibyśmy również, aby tę logikę przyjęli nasi wschodni sąsiedzi. Czego, jak na razie, nie widać. A znaczenie tej europejskiej perspektywy będzie coraz bardziej istotne w naszej polityce wschodniej.

I jeszcze jedna kwestia. Aleksander Smolar pytał, dlaczego w naszej dyskusji tak rzadko występuje Rosja. Chcę przypomnieć, jak, na spotkaniu z Joszką Fischerem zorganizowanym w Warszawie przez Fundację im. Stefana Batorego, Włodzimierz Cimoszewicz zapytał gościa z Niemiec o miejsce Rosji w zintegrowanej Europie. I Fischer wtedy wyraźnie powiedział, że Rosja ani nie chce, ani po prostu nie może, czyli nie spełnia warunków, aby stać się członkiem Unii Europejskiej. I myślę, że właśnie dlatego, że Rosja

nie mieści się w logice integracji europejskiej, nie budzi u nas takiego zainteresowania, jak np. Ukraina – państwo przynajmniej potencjalnie zdolne kiedyś do Unii przystąpić.

JACEK CICHOCKI: Równocześnie z dyskusją toczącą się na łamach „Tygodnika Powszechnego” w ciągu ostatnich dwóch miesięcy miały miejsce bardzo ważne wydarzenia na Ukrainie i Białorusi. Osobiście brakuje mi osadzenia w nich naszej rozmowy. Dostarczają one argumentów w rozmowie o tym, na ile w tych krajach możemy urzeczywistniać nasze idee. Te idee są mi bliskie, ale głos „pragmatyczny” każe wątpić w możliwość realizowania ich nawet w kategoriach jednego czy dwóch pokoleń. Przygotowania do wyborów prezydenckich na Białorusi, jak i głęboki kryzys polityczny na Ukrainie w wielu punktach potwierdzają tezy postawione w artykule *Pochwała minimalizmu*. Interesujące byłoby, gdyby zaczęto się zastanawiać na ile obecna rzeczywistość i wydarzenia w tych krajach pozwalają nam rozmawiać o realizacji tych zadań, wyznaczanych kiedyś przez Mieroszewskiego i Giedroycia.

LESZEK MOCZULSKI: Polityka jest na pewno integralna, ale jeżeli ją już szufladkujemy, należy pilnować, aby podziały odpowiadały rzeczywistości. Określenie „polityka wschodnia” jest właściwe dla naszej polityki wobec Rosji i azjatyckich państw postsowieckich, ale przestało być adekwatne dla naszej polityki wobec zróżnicowanej, ale odrębnej strefy, która jeszcze dziesięć, piętnaście lat temu była częścią ZSRR albo kierowanego przez to mocarstwo obozu. Polityka wobec tej strefy nazywanej Międzymorzem, czy też – wedle terminu prof. Oskara Haleckiego – Europą Środkowo-Wschodnią, stanowi osobną podszufladkę, która jest częścią szufladki polskiej polityki europejskiej. Podział wedle dotychczasowej struktury organizacyjnej MSZ nie ma tu nic do rzeczy. Oczywiście Rosja – i nasza polityka w stosunku do niej ma istotny wpływ na wydarzenia w megaregionie Międzymorza, ale rzeczą kluczową jest fakt, że cała ta strefa podlega procesom właściwym dla całej Europy. W szczególności procesom integracji europejskiej, co zresztą ciągle nie jest procesem równoznacznym z poszerzaniem Unii Europejskiej – choć nie odrębnym, tylko jeszcze szerszym.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat doszło do zmian geopolitycznych, zmian w świadomości społecznej, w gospodarce – przecież tworzy się wspólny rynek Europy pięciuset milionów, a poszerzanie Unii jest najważniejszym, choć nie jedynym działaniem integracyjnym. Należy do nich i Wyszehrad, i współpraca państw bałtyckich, i wspólny batalion polsko-

litewski oraz polsko-ukraiński a jeszcze bardziej bliskie i zacieśniające się związki pomiędzy Warszawą a Kijowem, Wilnem, Budapesztem, Bratysławą, Pragą, itd. Wszystkie te działania mieszczą się w procesie integracji europejskiej, zwłaszcza, że trudno nie odnieść wrażenia, że żywiołowe procesy zbliżania społeczeństw, zacieśniania więzów gospodarczych, kulturowych itd., poszły znacznie dalej niż decyzje polityczne, a na pewno je wyprzedzają. Jeśli są ludzie w Brukseli czy Warszawie, którzy nie są w stanie zrozumieć na czym polega główny problem europejskiego rolnictwa albo fundamentalnej jedności zróżnicowanych kultur narodowych – to nie dziwny się, że nie rozumieją rzeczy dla nich tak egzotycznej, jak problemy Międzymorza - które dla nich nie tak dawno jeszcze nie było Europą. Brak zrozumienia nie likwiduje jednak rzeczywistości. Nie przejmujemy się jednak takimi przejawami ciasnego myślenia, siłą rzeczy w następnej kadencji będzie lepiej, bo samo życie uczy realnego myślenia. Stąd też nasza polityka wobec Międzymorza musi być rozpatrywana jako część wielkiego procesu historycznego integrowania całej Europy.

Wymaga to również zrozumienia, że polityka polska ostatnich dziesięciu lat na pewno ponosi odpowiedzialność większą niż polityka jakiegokolwiek innego kraju za powolność europejskich procesów integracyjnych w znacznej części Międzymorza, a także współodpowiedzialność za niejedną niewykorzystaną szansę. Jak mówił prof. Dariusz Rosati: szanse były, wydawały się większe kilka lat temu, a dzisiaj wszystko jest ograniczone. Powiedziałbym, dzisiaj wszystko jest trudniejsze, ale nie budujemy już na samej nadziei, zmiany jakie nastąpiły są ogromne i chyba nieodwracalne. Można więc mówić o tym, że niedostatek środków wymusza minimalizację jakiś przedsięwzięć, ale przecież nie minimalizację horyzontów, minimalizację podstaw myślowych długofalowej polityki ani minimalizację celów – tak przecież zgodnych z kierunkiem procesu historycznego.

KAZIMIERZ WÓYCICKI: Po pierwsze, nie widzę kryzysu polskiej polityki wschodniej, a tylko kryzys sposobu mówienia w Polsce o tej polityce, a także rozczarowanie spowodowane nadmiarem nierealistycznych oczekiwań. Polski obrót handlowy z Rosją i Ukrainą jest niski, ale z drugiej strony nasz obrót handlowy z Zachodem jest wysoki. I to cieszy mnie to drugie, a to pierwsze potrafię sobie wyjaśnić tym, że ze wschodem trudno jest handlować i również lepsi od Polski nie odnoszą tam sukcesów. Obroty handlowe Niemiec z Polską są dwa razy większe od obrotów z Federacją Rosyjską. Nasze stosunki z

Rosją są nie najlepsze, ale można powiedzieć: „jaki kraj, takie stosunki”. Gdyby nasze kontakty z Putinem były bardzo dobre to, szczerze mówiąc, by to mnie raczej martwiło.

Po drugie, uważam, że uczymy się realistycznie nie tylko patrzeć, ale i mówić o pewnych sprawach. Uczymy się nowego języka. A myślenie głęboką historią, kategoriami „długich wieków”, to jest przed-nowoczesne myślenie o polityce. To współczesność decyduje o interpretacjach dawnej historii, a nie dawna historia narzuca interpretacje współczesności. Należy prowadzić wszelkie badania historyczne, również o tej najdawniejszej historii, ale należy mieć do nich właściwy stosunek. To my piszemy tę „długą historię”, a nie ona narzuca nam swoje wyroki. Uleganie swoistemu determinizmowi historycznemu, mającemu rzekomo oparcie w dawnej historii i budowanie z niej wizji obecnej polityki uznaję za naiwne i sędzę, że tego sposobu myślenia, szybko się pozbędziemy.

Trzecia uwaga wreszcie. Ponieważ nie jestem ekonomistą i uważam, że ekonomiści zbyt dominują nasze życie intelektualne, moja uwaga będzie o pieniądzach. Mianowicie jeżeli mówi się, że trzeba demokratyzację finansować ze środków budżetowych na Ukrainie, to odpowiadam – nie, ponieważ mamy ich zbyt mało. Finansujmy przede wszystkim naszą edukację europejską. Natomiast nauczmy się naszą politykę wschodnią opłacać ze środków europejskich. Wtedy będziemy robić dobrą politykę zachodnią i będziemy robić kawałek dobrej, nie polskiej, tylko europejskiej polityki wschodniej. W zbyt aktywnej polityce wschodniej polskiej kryje się jeszcze jedna rzecz: polska megalomania, której się boję. Gdy za dużo mówi o tej polityce wschodniej, to boję się, czy żeśmy nie stracili równowagi. Nie możemy zapominać o prawach człowieka na wschodzie Europy, nie powinna nam być obojętna przyszłość tamtejszych demokracji, nie powinniśmy zapominać o związkach kulturalnych i przyjaźniach, które tam mamy. Nasze interesy jednak, na całe szczęście związane są dziś przede wszystkim z Zachodem, a nasz los nie rozstrzyga się za Bugiem.

MARIUSZ-JAN RADŁO: Usłyszeliśmy tutaj wiele tez realistów i romantyków na temat mocnych i słabych stron polskiej polityki wschodniej. Po wysłuchaniu wszystkich przedstawionych opinii nasunęła mi się smutna refleksja, że zbyt dużo jest w tej polityce teorii, a zbyt mało konkretnych działań. Szczególnie brakuje zaangażowania polskich technokratów, którzy we współpracy z technokratami z Unii realizowaliby konkretne projekty dotyczące naszego wschodniego sąsiedztwa.

I jeszcze jedna uwaga. Pan Aleksander Smolar słusznie zauważył, że mamy wielu specjalistów od polityki wschodniej. Nasza specjalizacja w tym zakresie jest oczywiście

dla nas szansą, ale i zagrożeniem. Unia Europejska funkcjonuje na zasadzie naczyń połączonych. To zaś oznacza, że jeśli na przykład nie będziemy mieli swego stanowiska w kwestii handlu bananami w Unii, to wielu spraw ze sfery polityki wschodniej nie załatwimy. Dlatego specjalizując się w sferze polityki wschodniej Unii musimy również wypracować globalną wizję obejmującą wszystkie problemy przed jakimi staje wspólnota, musimy również nauczyć się realizować naszą politykę za pomocą instrumentów, którymi dysponuje UE.

ALEKSANDER SMOLAR: Poproszę teraz panelistów o bardzo zwięzłe wypowiedzi.

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ: Sądzę, że warto połączyć dwa wątki. Mówiono tu, że powinniśmy pomagać Ukraińcom w budowie ich autentycznego samorządu. Chce zauważyć, że w chwili, gdy pan prezydent Kuczma likwiduje z pomocą oddziałów milicji miasteczko namiotowe na Hreszczatyku, ta perspektywa się oddala. Oczywiście można wydawać państwowe czy też europejskie pieniądze na szkolenie Ukraińców w zakresie samorządności, ale powiedzmy otwarcie: dopóki nie powstanie w sferze publicznej czy też politycznej enklawa, która mogłaby rościć sobie pretensje do niezależności wobec decyzyjnego centrum prezydenckiego, nie można myśleć o reformach. Czy to oznacza, że mamy zaniechać szkoleń? Oczywiście, że nie. Należy Ukraińców przygotowywać, ale nie za polskie pieniądze.

Druga sprawa. Była tutaj mowa o horyzoncie czasowym. Dla mnie polityka rozpisana na trzy pokolenia nie jest już polityką, tylko myśleniem życzeniowym. W zakresie życzeń jesteśmy zgodni, w zakresie polityki zagranicznej nie. Ponieważ polityka zagraniczna rozpisana na trzy pokolenia do przodu w kraju, w którym przez pięćdziesiąt lat miała miejsce katastrofa cywilizacyjna i polityczna jest uzurpacją myślenia o sobie w kategoriach Wielkiej Brytanii. Jeżeli myślimy o realnej polityce, to powinniśmy rozstrzygnąć problemy przede wszystkim o charakterze – wiem, że to nieprzyjemne słowo - technologicznym, czy technokratycznym. Musimy znaleźć wspólny język z Białorusinami, z Rosjanami w zakresie korytarzy transportowych. Musimy go znaleźć z Ukraińcami w zakresie ruchu towarowego, osobowego oraz paliw płynnych. Podobne rozstrzygnięcia czekają nas z Litwą. To jest pytanie: czy Polska chce być pomostem dla eksportu energii ze Wschodu na Zachód? Czy z punktu interesów polskich jest to projekt niedobry? To jest także pytanie o miejsce naszego kraju w systemie tranzytu europejskiego. Odpowiedź na to pytanie jest

trudna. Przypomnę, że w ostatnich dziesięciu latach zmieniały się szacunki dotyczące stopnia zużycia energii w Polsce. W związku z tym trudno jest planować nie odpowiadając jednoznacznie na fundamentalne pytania wewnętrzne. I to jest realny poziom rozmowy o wyzwaniach, jakie czekają w najbliższym czasie polską politykę zagraniczną. Ważniejszy niż pytanie o zakres szkoleń samorządowych na Ukrainie.

DARIUSZ ROSATI: Podzielam większość uwag mojego przedmówcy. Wojciech Maziarski mówi o dwóch różnych sprawach. Oczywiście, że kształtowanie czy zmiana mentalności społeczeństwa jest zadaniem na długi okres czasu, na pokolenia. Natomiast nie można przyjmować postawy wyczekującej i po prostu zrezygnować z jakichkolwiek działań. Musimy być pewni, że ten proces zmierza we właściwym kierunku. Natomiast dzisiaj można mieć poważne wątpliwości, czy zmiany na Ukrainie zmierzają w kierunku, który przybliżał by te wizję, za jedno, czy dwa pokolenia: Ukrainy - członka europejskich struktur.

Po drugie, nie chcę przy pomocy pieniędzy, które mogą być użyte na edukację Polaków, uczyć Ukraińców. Naturalnie, że lepiej jest to zrobić za pieniądze europejskie. Natomiast nie zgadzam się z poglądem, że jeżeli nie będzie pieniędzy europejskich, to możemy nic nie robić. Wtedy powinniśmy angażować własne środki. W najgłębiej pojętym polskim interesie jest, abyśmy kształtowali sposób myślenia o państwie, instytucjach obywatelskich i gospodarce rynkowej. Winniśmy podjąć inicjatywę, a nie czekać na Unię Europejską. Róbmy to stukając do drzwi w Brukseli. A jeżeli nie zechcą dać pieniędzy, to powinniśmy znaleźć je w naszym budżecie. Nie musi się to odbywać kosztem edukacji, ale np. dotacji do górnictwa węgla kamiennego bądź też dotacji do leków refundowanych. To są, jak wiadomo, tylko dwie z wielkich dziur w budżecie. Przyszłością jest oddziaływanie na rozwój Ukrainy i Białorusi w pożądanym przez nas kierunku poprzez te wszystkie szkolenia, wyjazdy, kontakty, przez oddziaływanie na elity, grupy opiniotwórcze od dziennikarzy po wójtów. A zatem nie rozgrzeszajmy się. Jeżeli na Ukrainie czy w Rosji będą dominowały struktury starego porządku, to nie oznacza, że powinniśmy być bezczynni. Tylko, jeżeli zrobiliśmy wszystko co było możliwe, a mimo to ponieśliśmy klęskę, możemy powiedzieć trudno, nie udało się. Ale my, poza deklaracjami, robimy niewiele.

JERZY MAREK NOWAKOWSKI: Miło jest mi zgodzić się z ogromną częścią tego wywodu. Tylko jeden z wielu przykładów, tym razem białoruski. Niewątpliwie istnieje potrzeba, aby również pieniądze publiczne były zaangażowane w np. pomoc stypendialną dla młodych Białorusinów, którzy stracili miejsce na studiach z powodów politycznych. Jest to bardzo konkretny przykład, mało kosztowny, a procentujący politycznie i ideowo. Krótka polemika dotycząca gazociągu i sprawy ukraińskiej. Otóż, wiemy, że była to sprawa skomplikowana. Jeżeli ktoś ma na szyi pętlę i stoi przed wyborem, czy iść dobrowolnie, czy być ciągnięty za samochodem, to możemy powiedzieć: nie przeszkadzajmy mu iść. Nie mówmy jednak, że to jest kwestia swobodnego wyboru. Co do ostatniego głosu, który padł od pana Radło z MSZ-u, o technokracji, absolutnie się nie zgadzam. Oddanie polityki wschodniej w ręce technokratów nie jest żadnym rozwiązaniem. Technokraci są bowiem pożyteczni, wówczas gdy wiemy jakie cele mamy osiągać, oraz jakie narzędzia mamy w rękach i pozostaje jedynie problem ich sensownego wykorzystania. Tymczasem problemem polityki wschodniej jest właśnie jej nadmierna technicyzacja przy braku zrozumienia dla cywilizacyjnej i historycznej wagi problemów jakie na naszych oczach rozstrzygają się na wschód od granic Polski. Dla Polski polityka wschodnia jest szansą na udział w procesach decyzyjnych o skali globalnej. Ale do skonsumowania tej szansy nie wystarczy technika. Potrzebny jest nasz wkład intelektualny i polityczny na miarę ambicji i oczekiwań wobec Polski.

ZDZISŁAW NAJDER: Pięć uwag polemiczno-podsumowujących. Pierwsza: Władysław Bartoszewski powiedział kiedyś, że jest (a chciał powiedzieć: powinna być) tylko jedna polska polityka zagraniczna, a nie osobno zachodnia i wschodnia. I to jest podstawowy wniosek z naszej debaty: niech nasza polityka wobec Unii będzie instrumentem polityki wobec wschodnich sąsiadów i Rosji, a nasza polityka wobec Litwy czy Ukrainy niech będzie składnikiem polityki integracyjnej Polski z Unią Europejską.

Po drugie: obawiam się, że błędna jest ta pocieszająca myśl, iż Białoruś i Ukraina są na etapie Polski sprzed lat dwudziestu. Nie są. A co gorsza dystans między cywilizacją materialną a zwłaszcza polityczną tych państw a jej poziomem w Polsce – stale rośnie. Zwracam też uwagę na paradoks: opozycja na Białorusi jest słaba i mało widoczna i ma mały wpływ na to, co się tam dzieje. Ale Łukaszenka nie obezwładnił zaczątków społeczeństwa obywatelskiego przez ich wessanie do własnego systemu, jak to się stało na Ukrainie Kuczmy.

Trzecia uwaga: znajdujemy się, jak powiedział zacytowany Bohdan Cywiński, na krawędzi. Osobiście nie wahałbym się użyć starego słowa „kresy”. Polska jest i jeszcze długo pozostanie kresami cywilizacji europejskiej.

Po czwarte: oponuję przeciwko lekceważeniu jako „przed-nowoczesnych”, historycznych odwołań w naszej polityce zagranicznej. Państwa Zachodu wcale się tego nie wyrzekają. Sentymenty historyczne są ważne. Działają stabilizująco, nie są elementami zmiennych aktualnych praktycznych rozgrywek. A poza tym: kultura polska, z głębokimi korzeniami, także na wschód od obecnych granic, jest częścią naszej dzisiejszej tożsamości – i warunkiem tożsamości na przyszłość.

I na koniec. Dzięki Bartłomiejowi Sienkiewiczowi przekonaliśmy się, że jesteśmy na ogół zgodni co do celów – ale musimy nieporównywalnie więcej uwagi, niż dotychczas, poświęcać posiadanym środkom. Ich trzeźwej ocenie, ich mobilizacji, ich pełnemu wykorzystaniu.

ALEKSANDER SMOLAR: Nie zamierzam podsumowywać naszej dyskusji. Ograniczę się do paru uwag, które nasunęły mi się w trakcie naszej rozmowy.

Jerzy Marek Nowakowski posłużył się słowami Tuwima o „strasznym mieszczańskim”, mając na myśli często obecną niezdolność całościowego widzenia problemów polityki, traktowania jej jako sumy rozłącznych fragmentów. Leszek Moczulski mówił o konieczności integralnego widzenia polityki. Wiemy, że jest to konieczne i zarazem niemożliwe. W tym sensie, że każde działanie, każda dyskusja musi przyjmować ograniczone ramy. Ale w naszej dyskusji i w poprzedzającej ją dyskusji prasowej, brak jest jednego bardzo ważnego aktora: Stanów Zjednoczonych. Nasze zainteresowanie krajami sąsiednimi nie zawsze znajduje zrozumienie w unijnej Europie. Wynika to z różnych powodów. Z obawy, że np. kwestionując umowę z Schoengen możemy podważać dokonania UE. Albo też z fundamentalnego pesymizmu co do możliwości wyciągnięcia naszych sąsiadów z rosyjskiej strefy wpływów. Krajem, który jest zainteresowany naszą współpracą w działaniu na rzecz Ukrainy czy Białorusi są na pewno Stany Zjednoczone. Jest to jedno ze źródeł naszych bliskich stosunków z Waszyngtonem i pewnej podejrzliwości niektórych stolic europejskich. *Nota bene* warto, aby następną naszą debatę zorganizować właśnie na temat naszych stosunków z Unią i Stanami.

Zgadzam się ze Zdzisławem Najderem, że będąc w Unii będziemy mogli uczynić naszą politykę wschodnią bardziej skuteczną. Można tu przywołać doświadczenie Niemiec.

Rozpoczęły one swoją *Ostpolitik* wtedy, gdy były już silnie zakorzenione w strukturach euroatlantyckich, gdy dynamiczna polityka wschodnia nie zagrażała ich bezpieczeństwu i tożsamości. Podobnie nasze możliwości mogą istotnie wzrosnąć wraz z wejściem do Unii. Po pierwsze – nasze działania w tym kierunku nie będą odbierane przez państwa Unii jako zagrożenie dla naszego zachodniego wyboru. Po drugie – kraje Unii, nawet chłodno podchodzące do naszej polityki, nie będą mogły naszych wysiłków lekceważyć, nie brać ich pod uwagę. Podczas gdy obecnie nasze różne inicjatywy mogą spotykać się z bardzo zimnym przyjęciem. I rzecz najważniejsza: będziemy mogli jako równoprawny członek Unii wpływać na jej politykę w kierunku większego otwarcia na kraje z nami graniczące. Jednakże, aby taka polityka była realistyczną hipotezą już teraz trzeba prowadzić politykę otwarcia. Nie możemy odcinać się dziś od sąsiadów zapowiadając zmianę, gdy będziemy w Unii. Horyzont paru pokoleń na pewno nie jest perspektywą polityczną. Ale też jest rzeczą ważną, aby politykę wpisywać w czas. Wpisywać też podejście techniczne, czy technokratyczne w perspektywę polityczną, to znaczy w wybory podyktowane wolą polityczną, a nie w logikę często zawodnych konieczności technicznych. Zgadzam się tu z Wojciechem Maziarskim. Na dodatek stosunki międzynarodowe w dzisiejszym świecie nie ograniczają się do instrumentarium państwa. Gdy Dariusz Rosati mówi o wadze przygotowywania naszych sąsiadów do demokracji, do integracji z Zachodem, to przecież nie jest to tylko, a może nawet – nie tyle zadaniem państwa. Jest to strefa już dziś wielkiej aktywności organizacji pozarządowych. Czasami, choć w przypadku polskim rzadko, finansowanych przez państwo. Działają w tej dziedzinie i w tej strefie setki organizacji pozarządowych, poczynając od humanitarnych, aż po eksperckie. Zresztą, nawet jeżeli mówi się o państwie, to nie należy, sądzę, redukować jego możliwości do „twardej” dyplomacji. Jest rzeczą oczywistą, że siła naszego oddziaływania zależy przede wszystkim od naszego potencjału gospodarczego. Ale przecież nie tylko. W latach 70-tych i 80-tych dość popularne było przeciwstawienie polityki Stanów wobec Moskwy polityce Bonn. W jednej dominował często „kij”, w drugiej „marchewka”. Ale poza „kijem” i „marchewką” brzmiał dość donośnie głos Francji, która nie dysponowała ani jednym, ani drugim, znakomicie posługując się „słowem”. „Słowo” też jest istotnym narzędziem polityki międzynarodowej. Zajmowanie stanowiska w ważnych sprawach, które dotyczą naszego regionu, Europy, naszych sąsiadów, stawianie na rozbudowę kontaktów, na edukację, doradztwo etc. To wszystko ma istotne, nawet jeżeli nieuchronnie ograniczone znaczenie.

Nasze debata częściowo przypomina dyskusję, która toczyła się i toczy w bogatych i wpływowych Stanach w związku z oceną polityki poprzedniej administracji. Chodzi tu zwłaszcza o przypisywany jej demokratyczny prozelityzm. Linia podziału nie przebiegała zresztą między demokratami a republikanami. Wśród republikanów jest wielu konserwatywnych „internacjonalistów”. Przeciwnicy tej polityki zarzucali jej nieskuteczność. Nie można demokracji narzucić z zewnątrz, wymaga długich procesów dojrzewania. Czyż jednak zmiany w świecie w latach 80-tych i 90-tych nie pokazały, że do demokracji okazywały się zdolne kraje, całkowicie do tego – jak można było sądzić – nie przygotowane.

Musimy uczyć się realizmu, oceniania tego co możliwe. Ale też pamiętając, że to co możliwe nigdy nie jest z góry określone. Że jest ono funkcją również naszej woli, gotowości, roli jaką celom tym przypisujemy.

opracowanie: Grażyna Czubek, Piotr Kosiewski

Uczestnicy dyskusji

Tadeusz Chabiera - politolog, doktor nauk humanistycznych, absolwent Instytutu Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego; w latach 1989-95 pracował jako główny specjalista w Ośrodku Studiów Międzynarodowych przy Kancelarii Senatu RP, był redaktorem kwartalnika „Polska w Europie” oraz biuletynu „Bezpieczeństwo Europejskie”; w latach 1995-96 sekretarz Konsultacyjnego Komitetu Prezydentów RP i Ukrainy; w latach 1996-97 doradca ministra, sekretarz Konsultacyjnego Komitetu Prezydentów RP i Ukrainy; od 1997 roku wykładowca w Krajowej Szkole Administracji Publicznej. Autor licznych publikacji z zakresu problematyki stosunków międzynarodowych, bezpieczeństwa europejskiego i polskiej polityki zagranicznej w „Rzeczpospolitej”, „Gazecie Wyborczej”, „Tygodniku Powszechnym” i „Więzi”.

Jacek Cichocki – absolwent wydziału filozofii i socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1992 roku pracuje w Ośrodku Studiów Wschodnich. 1995-97 asystent w Forum Europy Środkowo-Wschodniej przy Fundacji im. Stefana Batorego; 1997-98 szefuje Działowi Kaukazu i Azji Centralnej; 1999-2000 szef Działu WNP i Krajów Bałtyckich. Od roku 2001 wicedyrektor Ośrodka.

Jerzy Kłoczowski – historyk, profesor; zajmuje się historią kultury w tym historii chrześcijaństwa w Polsce; od 1950 wykładowca KUL; od 1967 roku profesor nadzwyczajny, a od 1974 profesor zwyczajny. Od 1991 dyrektor Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie; kilkakrotnie przewodniczący polskiej delegacji na Konferencji Generalnej UNESCO, członek-założyciel Polskiej Rady Ruchu Europejskiego, profesor KUL – kierownik Katedry Archeologii Polski, kierownik Katedry Historii Kultury Polskiej, wiceprzewodniczący Międzynarodowej Komisji Historii Porównawczej Kościołów, przewodniczący Polskiej Komisji Historii Porównawczej Kościołów w Komitecie Nauk Historycznych Polskiej Akademii Nauk. Od 2000 roku koordynator Kolegium rektorów Szkół Wyższych Lublina ds. powołania Uniwersytetu Polsko-Ukraińskiego. Od 1956 członek-założyciel warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej; członek „Solidarności”; 1989-90 przewodniczący Komitetu Obywatelskiego Lubelszczyzny, 1990-1991 senator RP. Autor i redaktor ok. 600 publikacji z zakresu historii.

Wojciech Maziarski – dziennikarz; w latach 80. działał w opozycji demokratycznej, był m.in. redaktorem kwartalnika „Obóz” (poświęconego kontaktom z sąsiadami Polski) i Serwisu Informacyjnego Solidarności. W 1988 roku założył Wschodnioeuropejską Agencję Informacyjną. Do 2001 był dziennikarzem „Gazety Wyborczej”, od kwietnia 2001 dziennikarz polskiej edycji tygodnika „Newsweek”.

Leszek Moczulski – studiował prawo i historię na Uniwersytecie Warszawskim oraz ekonomię i nauki społeczne na Akademii Nauk Politycznych. Pracował jako dziennikarz i publicysta m.in. w „Życiu Warszawy” (1950-53), „Dookoła Świata” (1955-57), „Stolicy” (kierownik działu historycznego 1961-67), współpracował m.in. z miesięcznikiem „Więź”. Uczestnik konspiracji niepodległościowej a następnie jawnej opozycji demokratycznej, od 1977 roku rzecznik Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, od 1979 roku przewodniczący Konfederacji Polski Niepodległej, wydawca i redaktor prasy drugoobiegowej m.in.: „Opinia”, „Droga”, „Gazeta Polska”. Wielokrotnie represjonowany, aresztowany i sądzone, więzień polityczny (1957-58, 1980-84, 1985-86). 1991-97 poseł na Sejm RP. Współautor projektu Konstytucji III Rzeczypospolitej i licznych projektów ustaw. Członek Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego 1992–93, 1993-97. Przewodniczący sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą 1993-97. Delegat do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy 1992-1996. Autor wielu książek z zakresu historii, nauk politycznych oraz doktryn strategicznych.

Zdzisław Najder - historyk literatury, publicysta, polityk. Członek redakcji „Twórczości”; 1976 założyciel Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. W latach 1978-1987 dyrektor sekcji polskiej Radia Wolna Europa w Monachium; 1983 skazany zaocznie na karę śmierci przez sąd wojskowy w PRL pod zarzutem szpiegostwa, 1989 wyrok uchylony, a w 1990 umorzenie sprawy. 1990 powrót do kraju. 1990

przewodniczący Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ "Solidarność", 1991 przewodniczący Krajowego Komitetu Obywatelskiego, a także Klubu Atlantyckiego. Opublikował m.in.: *Nad Conradem* (1965), *Życie Conrada Korzeniowskiego* (1980), *Ile jest dróg* (1982), *Wymiary polskich spraw 1982-1990* (1990), *Jaka Polska. Co i komu doradzałem* (1993).

Jerzy Marek Nowakowski – absolwent wydziału historii Uniwersytetu Jagiellońskiego, studiował też na wydziale nauk politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. 1991 – doradca konsultacyjny Prezydenta RP; 1990-95 dyrektor Ośrodka Stosunków Międzynarodowych przy Senacie RP; 1997-99 podsekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów; do lutego 2001 doradca Prezesa Rady Ministrów do spraw międzynarodowych. Autor i współautor wielu publikacji na temat polityki i historii współczesnej, zwłaszcza Polski i Europy Wschodniej.

Tadeusz A. Olszański - analityk Ośrodka Studiów Wschodnich w Warszawie, członek redakcji Almanachu Karpackiego „PŁAJ”, współpracownik m.in. „Obozu” i „Więzi”. Autor m.in. *Narodowości ZSRR - sytuacja dzisiejsza i perspektywy* (jako Jan Łukaszów, 1989), *Wokół Akcji Wisła* [w:] *Colloquium Narodów* (1991), *Konflikt polsko-ukraiński 1943-1947*, „Zeszyty Historyczne” nr 90, *Historia Ukrainy XX w.* (1995).

Mariusz-Jan Radło – politolog, ekonomista, publicysta magazynu „Unia&Polska”, pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Jerzy Reguński - ukończył studia na Wydziale Inżynierii Politechniki Warszawskiej i w paryskim Centre de Recherche d'Urbanisme. Profesor nadzwyczajny nauk technicznych oraz profesor zwyczajny nauk ekonomicznych. W 1981 roku wraz z zespołem opublikował pierwsze założenia reformy władz lokalnych. Współprzewodniczył zespołowi ds. samorządu terytorialnego podczas rozmów Okrągłego Stołu. Senator I Kadencji. Pełnomocnik Rządu ds. Reformy Samorządu Terytorialnego. W latach 1992–1997 Stały Przedstawiciel RP przy Radzie Europy w Strasburgu. W latach 1998-99 Przewodniczący Rady ds. Reform Ustrojowych Państwa przy Prezesie Rady Ministrów. Prezes i jeden z założycieli Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej.

Dariusz Rosati - absolwent SGH w Warszawie (dawna SGPiS), profesor nauk ekonomicznych. 1978-1979 konsultant w Citibank w Nowym Jorku; 1985-1986 oraz 1987-1988 założyciel i dyrektor Instytutu Gospodarki Światowej w SGH; listopad 1988 - czerwiec 1989 członek społecznego zespołu doradców ekonomicznych premiera; 1988-1991 ekspert Banku Światowego, Instytutu Badań nad Rozwojem Gospodarczym ONZ (WIDER), Międzynarodowej Organizacji Pracy i Komisji Wspólnot Europejskich; 1991-1995 szef Sekcji Krajów Europy Środkowo-Wschodniej w Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ w Genewie; grudzień 1995 - październik 1997 minister spraw zagranicznych RP. Obecnie członek Rady Polityki Pieniężnej. Autor ponad 200 prac naukowych i publicystycznych w języku polskim, angielskim, francuskim, rosyjskim i węgierskim, w tym cztery książki.

Bartłomiej Sienkiewicz – publicysta, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego i Akademii Obrony Narodowej; w latach 80-tych uczestnik opozycji demokratycznej, od 1990 współpracownik ministrów Krzysztofa Kozłowskiego i Andrzeja Milczanowskiego w MSW i UOP, następnie współtwórca i wicedyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich. Współpracownik „Tygodnika Powszechnego”.

Aleksander Smolar – publicysta, politolog; studiował socjologię i ekonomię na Uniwersytecie Warszawskim. 1971-1989 na emigracji politycznej we Włoszech, Wielkiej Brytanii i we Francji; 1974-1990 założyciel i redaktor naczelny kwartalnika politycznego „Aneks”; 1989-1990 doradca ds. politycznych premiera Tadeusza Mazowieckiego. 1992-1993 doradca ds. polityki zagranicznej premier Hanny Suchockiej; od 1990 Prezes Zarządu Fundacji im. Stefana Batorego Pracownik naukowy francuskiego Krajowego Centrum Badań Naukowych (CNRS). Członek Rady Politycznej Unii Wolności.

Kazimierz Wóycicki – publicysta; w latach 1990-1993 redaktor naczelny „Życia Warszawy”, w latach 1996-1999 dyrektor Instytutu Polskiego w Düsseldorfie, obecnie jest prezesem Instytutu Niemiec i Europy Północnej w Szczecinie. Publikował w „Rzeczpospolitej”, „Tygodniku Powszechnym” i „Więzi”.